



279



## **Prośba książki do**

212

## **czytelnika.**

Jestem tu przysłana przez *Krakowskie Towarzystwo Oświaty Ludowej*, jako przyjaciel ludzi, **nie tylko dla ciebie ale także i dla innych.**

Obchodź się ze mną jak z przyjacielem, **oszczędzaj mię! szanuj! nie plam!**

Wypożyczywszy z czytelni, **obwiń mię w papier!** — nie wystawiaj mię na słońce — nie kładź w miejscu **brudnem lub wilgotnem!**

Zanim do czytania usiądziesz, **umyj pierwszej ręce, nie dotykaj mię tłustymi, brudnymi palcami!**

Czytając, **nie śliń palców przy przewracaniu kartek** — **nie załamuj rogów** — **nie rób znaków ołówkiem, czy atramentem** — **nie wypisuj nazwisk!**

**Nie zatrzymuj mię u siebie bez potrzeby!**

Kto na kartkach mych coś wypisuje, kto **mię plami, niszczy**, lub napowrót do czytelni nie oddaje, **ten jest nieuczciwym człowiekiem!**  
**Zastanów się i postępuj uczciwie!**

*M. 7*



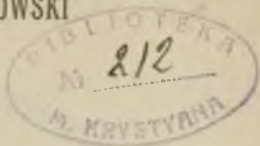
*1846*

ZARZĄD BIBLIOTEKI  
KRAKOWSKIEGO TOWARZYSTWA OSWIATY LUDOWEJ

3/2

100 71 10

Dr. STANISŁAW KOZŁOWSKI



# KAZIMIERZ PUŁASKI

~~1846~~

~~ZARZĄD REDAKCYI  
N<sup>o</sup> 212  
KRAKOWSKIEGO TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ~~



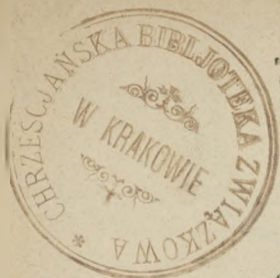
Własność krakowskiego  
TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ.

KRAKÓW

NAKŁADEM REDAKCYI „PRAWDY“

1901

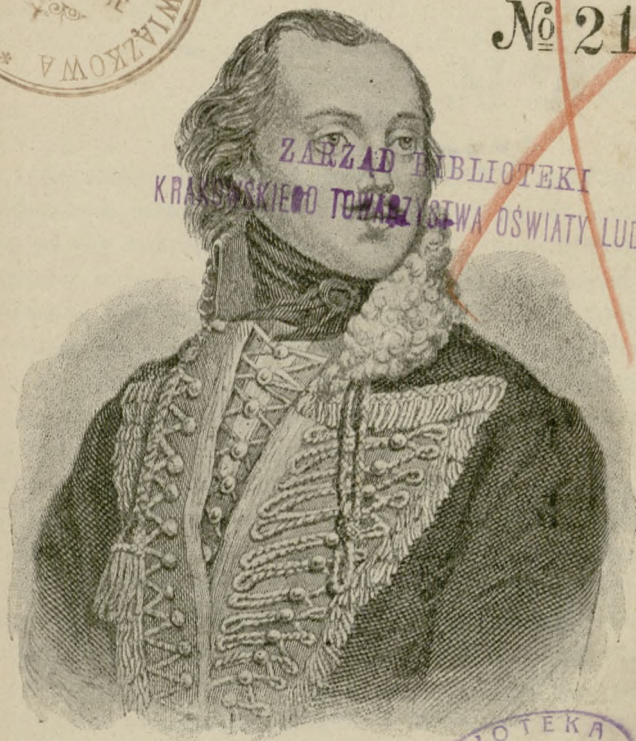
OSOBNĄ ODBITKĄ Z „PRAWDY“



Własność krakowskiego  
Towarzystwa Oświaty Ludowej.

№ 212

ZARZĄD BIBLIOTEKI  
KRAKOWSKIEGO TOWARZYSTWA OŚWIATY LUDOWEJ.



KAZIMIERZ PUŁASKI.







~~N<sup>o</sup> 212~~

Kazimierz Pułaski dobrze się zasłużył ojczyźnie w chwilach strasznych, poprzedzających gwałt okrutny, zwany rozbiorem Polski. Na ojczystych niwach zajaśniał męstwem, nie żalując krwi dla nich, a gdy je musiał opuścić, udał się do Ameryki i tam znów chlubnie udowodnił swoje bohaterstwo. Pamięć jego żyje w sercach Polaków, znają też to imię za oceanem, gdzie uczczono pomnikiem naszego rodaka. Rodzina Pułaskich pisząca się na Pułaziach, nie Puławach, jak błędnie mniemano, jest pochodzenia szlacheckiego i wybija się na wierzch w wieku XVIII. Przedtem ani pod względem majątkowym, ani przez piastowane dygnitarstwa nie wyrasta ponad miarę jednowioskowej szlachty. Ojciec dopiero naszego wojownika, Józef Pułaski, doszedł do majątku, a co ważniejsza, zdobył nieśmiertelne imię przez swoje poświęcenie i miłość dla ojczyzny. Józef Pułaski, starosta warecki, był już panem dużych dóbr, i pisarzem skarbowym. Józef Pułaski należał do gorliwych strażników króla Stanisława Leszczyńskiego, który, jakby przez jakąś klątwę Nieba, nie mógł się utrzymać na tronie. Jako zwolennik Leszczyńskiego był Pułaski przeciwnikiem króla Augusta III. i brał udział

w Konfederacyi Dzikowskiej. Po upadku swego kandydata, musiał się pogodzić z nowym władcą, nie zapominał jednak nigdy rad udzielonych narodowi przez króla Stanisława Leszczyńskiego w jego znamenitem dziele «Głos wolny» i kierował się duchem, ożywiającym książkę koronowanego pisarza. Mianowicie poznał, że polskie ustawy i prawa wymagają zmiany, pożądał więc reform, godzących wolność z porządkiem. Gdy na tron polski wstąpił w r. 1764 Stanisław August, Pułaski stanął po stronie hetmana Jana Klemensa Branickiego, który z Karolem Radziwiłłem, znanym pod nazwą «Panie Kochanku», zbrojnie przeciw nowemu monarsze wystąpił. Rządy Stanisława Augusta w początkach nacechowane dobrymi dążeniami, wzięły najgorszy dla przyszłości Polski kierunek, gdy król, dbając tylko o siebie, zerwał z rozumnym programem swych wujów książąt Czartoryskich, ludzi równie mądrych, jak prawych. Od tego zerwania a oddania się na służbę carowej Katarzyny, od smutnej pamięci Konfederacyi Radomskiej, Moskale rządzą w Polsce, jak u siebie. Kiedy doszło do tego, że moskiewski ambasador Repnin kazał podczas sejmu, odbywającego się w Warszawie w r. 1767 porwać senatorów za to, że się odważyli mieć zdanie przeciwne, niż sobie życzano w Petersburgu, przebrała się miara cierpliwości, tak ciężko doświadczonego narodu. Wszystko co było w Polsce zacniejszego, czego filozofia francuska i płynąca z niej bezbożność nie ogołociła z szlachetniejszych uczuć, chwyciło za oręż. Z grona tych ludzi twardo przy wierze i ojczyźnie stojących, powstała dnia 29

lutego 1768 roku Konfederacya w Barze na Podolu, od kolebki swojej nazwana Barską. Był to związek zbrojny, skierowany przeciwko Moskalom, rządzącym w niepodległej jeszcze podówczas Polsce, jak u siebie. Przeciw konfederatom ruszyły odrazu zastępy moskiewskie, a król Stanisław August popisał się tak ładnie, że wojsku polskiemu nakazał razem z Moskalami walczyć przeciw konfederatom. Naczelnikiem czyli regimentarzem Konfederacyi został Józef Pułaski, którego trzech synowie: Kazimierz, Antoni i Franciszek stanęli odrazu w szeregach obrońców narodowej godności. Pierwszym czynem w wielkim stylu Kazimierza Pułaskiego była heroiczna obrona Berdyczowa<sup>1</sup>. W mieście tem zamknął się on w warownym klasztorze księży Karmelitów i na czele 700 żołnierzy wytrzymał kilkodniowe oblężenie, pełne wspaniałych rysów i przypominające wielu szczegółami wiekopomną obronę Częstochowy przez nieśmiertelnego ks. Augustyna Kordeckiego. Na murach Berdyczowa ukazuje się Pułaski, jako prawdziwy rycerz krzyżowy, pełen głębokiej religijności, wspaniały niesłychaną odwagą. Wysłuchawszy zrana w kornej postawie Mszy św. przed cudownym obrazem Najświętszej Maryi Panny Berdyczowskiej, spieszy gdzie krew, śmierć i chwała i nie schodzi przez dzień cały z pola trudów, niebezpieczeństw i sławy. Takim był każdy dzień jego w ciągu sześciotygodniowego oblężenia. Stał tam, gdzie największy ogień, kierował bitwą, dodawał ducha podwładnym, dwoił

---

<sup>1</sup>) Heleniusz, «Rozmów o Polskiej koronie», tom II, str. 120.

się prawie, przewodnicząc wszędzie i dźwigając wszędzie obłożonych mocą swego ducha. Bez wątpienia byłby odparł hufce carskie od berdyczowskiej twierdzy, gdyby nie brak żywności, prochu i smutny los Hortyńskiego, który spiesząc na odsiecz do Berdyczowa, został wziętym przez Moskali do niewoli. Poddał się więc, wymawiając sobie wolny odwrót, co mu Moskale zaręczyli, lecz później, wierni swemu zwyczajowi, sromotnie złamali słowo. Pułaski jednak zdołał się wymknąć z niewoli i długo jeszcze dawał się Moskałom we znaki. Był mistrzem w wojnie partyzanckiej, a podjazdy wykonywał z taką wprawą i skutkiem, że się zdaje, iż to drugi Sienkiewiczowski Kmicic. Czas jakiś ucierał się z wrogiem na różnych punktach Podola i Litwy, zjawiając się najniespodziewaniej tam, gdzie go się najmniej spodziewano. Wyrastał niby z pod ziemi, przedzierając się przez gęstwiny leśne i puszcze stepowe. Szybkością ruchów i obrotów wzbudził w żołnierzu moskiewskim jakąś zabobonną trwogę. Gdy zaś ruch konfederacki począł słabnąć w województwach: podolskiem, wołyńskiem i braclawskiem skutkiem rzezi humańskiej, wywołanej przez carową Katarzynę, Pułaski stoczywszy bitwę z Moskałami pod Białymstokiem, ruszył w Krakowskie. Częstochowa a dalej Bobrek, Lanckorona i Tyniec w okolicach Krakowa, były nowym teatrem jego chlubnych czynów. Zająwszy klasztor Jasnogórski, obwarował go naprędce, mniemając, że walka w tem miejscu narodowi tak drogiem z pobudek religijnych i ważnem pod względem strategicznym, przyniesie sprawie narodowej

podwójną korzyść. Rozbudzi ducha narodowego, jak niegdyś za Jana Kazimierza i zmusi wroga do zużycia wiele czasu i strawienia znacznych sił, przy obleżeniu tego warownego i cudownego miejsca. Zdobywać Częstochowę miał generał moskiewski Drewicz, sławny okrutnik. Był ten Drewicz z wyznania kalwinem, w młodości służył w wojsku pruskim, z którego zbiegł przechodząc do Moskali w nadziei szynszego awansu. W walce z konfederatami shańbił się Drewicz godną ludożerczych plemion srogością. Księży katolickich wieszał z szczególnem zadowoleniem, bo jako kalwin fanatycznie nienawidził katolicyzmu. Idąc pod Częstochowę miotał w gronie oficerów takie bluźnierstwa, że sami Moskale mający wielką cześć dla Matki Boskiej, surowo go za tą podłość skarcili. Konfederatom brany do niewoli kazał ściągać skórę z rąk i zarzucać ją na ramiona, z czego się śmiał serdecznie mówiąc: «Że panom Polakom sprawił wyloty do kontusza». Drewicz nie miał wielkiej chęci walki z Pułaskim, próbował, czyby się to przez układy nie udało, wyprawił więc potajemnie list. W liście tym rozwodzi się nad smutną dolą konfederatów, którzy lada chwila zgniecenii zostaną. Przedstawia Pułaskiemu całą grozę niebezpieczeństwa, na które się naraził, broniąc jasnogórskiego klasztoru. Wykazuje, że wobec jego armat opór jest niemożliwy, a im dłużej trwać będzie, tem' gorsze skutki spadną na klasztor i jego obrońców. Odmalowawszy tak ponuro przyszłość, próbuje nakłonić Pułaskiego do poddania się, obiecując mu w nagrodę stopień jenerała w armii carskiej. Nędznik! mniemał, że wszyscy tak, jak on

nie znają innego głosu prócz brzęku złota, wszystkich ludzi własną oceniał miarą, wszystkich za zdrajców i przedawczyków uważał. Pułaski odpisał mu z całym oburzeniem, zgromił go surowo, że śmiał przypuścić, aby on, katolik i Polak, mógł się skalać zdradą. Ale «nie dziwno — kończył w swoim liście Pułaski — tyś zbiegł, jak zdrajca z wojska pruskiego, więc sądzisz, że wszyscy tacy». Odebrawszy taką odpowiedź, ruszył pod Częstochowę, gdzie nasi na samym wstępie przygotowali mu niezbyt miłą niespodziankę. Gdy pan Kazimierz dowiedział się przez wysłanych na zwiady ludzi o marszu Moskali pod Częstochowę, kazał na górze klasztornej umieścić armaty w takim miejscu, że ich z dołu dojrzeć nie było można; a następnie wzięwszy stu żołnierzy opuścił klasztor i rozłożył się z nimi obozem u stóp góry <sup>1)</sup>. Ujrawszy to Drewicz, uwierzył, że konfederaci, nie wiedząc nic o jego ruchach, są nieprzygotowani, i że bez walki zdoła jednym zamachem opanować klasztor. W chwili jednak, w której powiada żołnierzom, że to zbieranina ci konfederaci, którzy na sam widok wojsk carskich pierzchają, huknęły armaty jasnogórskie, kładąc gęsto trupa wśród nieprzygotowanych na to Moskali. Powstał popłoch niezmierny w wojsku Drewicza, żołdaci poczęli uciekać, a starszozna, tylko z największym wysiłkiem zdołała zakłócony porządek przywrócić. Wśród tego zamieszania Pułaski najspokojniej ze

---

<sup>1)</sup> Ks. Kitowicz, »Pamiętniki do panowania Augusta III. i Stanisława Augusta«, str. 196.

swymi ludźmi boczną drożyną do klasztoru wrócił, gdzie w cudownej kaplicy zgiął kolana, dziękując Królowej Korony Polskiej za pomyślny pierwszy krok w obronie Jej przybytku. Od tego dnia rozpoczęły się szturmowanie do klasztoru i trwały bez przerwy przez dwa tygodnie. Szturmowanie te przypuszczali Moskale w nocy, a we dnie strzelali z armat tak gęsto do klasztoru, że prawie nie ustawał huk, lecz bardzo niewiele bomb przekroczyło poświęcone mury. Przeważnie pociski moskiewskie przenosiły albo omijały klasztor, te zaś, które doń wpadły większych uszkodzeń nie wyrzuciły. Pewnego dnia, gdy konfederaci odbywali jakąś naradę w refektarzu klasztornym, oknem wpadła doń pękająca bomba, obecni jednak mając pod ręką mokrą skórę wołową, przygasili palący się lont i skończyło się jedynie na strachu. Pułaski nie tylko po mistrzowsku kierował obroną Częstochowy, ale także w wycieczkach odbywanych nocą do obozu Drewicza, stwierdził swą odwagę i zdolność wodza. Mimo największych niebezpieczeństw wychodził zawsze z tych oparów obronną ręką. Razu jednego o mało nie wpadł w szpony moskiewskie, z których byłaby go tylko śmierć jedna oswobodziła i to śmierć zadana mu przez nienawistnego tyrana Drewicza, obmyślana z całym wyrafinowaniem okrucieństwem przez carskiego siepacza. Rzecz się tak miała. Pewnej nocy bardzo ciemnej i wietrznej, kiedy cisza spowiła obóz moskiewski, pozwalając się domyślać, że żołnierz wyczerpany całodziennym trudem, pogrążony jest w twardym śnie, pan Kazimierz wybiera co najcieńszych rębaczy

i z cichością nadzwyczajną boczną furtką wychodzi z klasztoru. Częścią idąc, częścią pleząc się dociera nieustraszona drużyna do obozu moskiewskiego i tu rzuca się na śpiących, roznosząc śmierć na wszystkie strony. Moskale przebudzeni w tak straszliwy sposób nie mogą się zorientować, a tu jeszcze dla większego ich przerażenia krzyczą konfederaci: «tu-taj panie Zaremba, tu jest Pułaski». Zaremba był to jeden z marszałków Konfederacji Barskiej, który w tym czasie operował na czele dość licznego oddziału w okolicach miasta Piotrkowa.

Śluchy chodziły, że Zaremba spieszy na pomoc Pułaskiemu i że Drewiczowi, który się tego razem ze swem wojskiem jak ognia obawiał, ma tył zająć. Zaremby podczas tej wycieczki pod Częstochową nie było, ale nasi, wiedząc o obawie Moskali, zręcznie to wyzyskali i sprawili wrogowi znaczne szkody. Gdy się nieprzyjaciel opamiętał po dłuższej chwili, Pułaski zakomenderował odwrót i sam na ostatku opuścił nieprzyjacielski obóz. Gdy się rozgląda na wszystkie strony i daje umówiony znak strzałem puszkarzom jasnogórskim, by Moskalom zagrali z armat, spostrzega, że konfederaci zanadto go wyprzedzili i że pogoń moskiewska jest tuż przy nim. Pada więc na ziemię, tłumi dech w piersiach, aby udać trupa; dzięki temu pogoń przechodzi, nie zwracając nań uwagi, a on dopiero wtedy, gdy gęsty ogień działowy z murów daleko odrzucił wroga, wrócił do klasztoru. Tu przyjęli go podwładni ze łzami serdecznego rozrzewnienia, bo go już jako zabitego oplakiwali. Tej pamiętnej nocy stracił nieprzyjaciel z górą 200

ludzi, naszych brakowało załdwie kilkudziesięciu. Nie możemy przechodzić szczegółów walki pod Częstochową, bobyśmy znużyli uwagę czytelnika powta-  
rzaniem opisów, które z natury rzeczy muszą być jednakie. Musimy natomiast przedstawić w krótkości działalność Pułaskiego w okolicach Krakowa. Wspominaliśmy już powyżej, że w krakowskiem były oddziały konfederatów w Bobrku, Lanckoronie i Tyńcu. Pan Kazimierz przybywszy w te strony ufortyfikował te obozy, zamieniając je w dość silne warownie. Wielką dlań pomocą w dokonaniu tego dzieła była obecność w szeregach konfederackich kilku zdolnych inżynierów Francuzów. Francya bowiem, bojąc się przewagi moskiewskiej w Polsce, wspierała konfederacyę pieniędzmi i zdolnymi oficerami, wśród których pierwsze miejsce zajmuje Dumourier. Z tym ostatnim Pułaski był w złych stosunkach. Nie chciał przyjąć planu kampanii, skreślonego przez Dumourier'a, nie chciał iść pod jego komendę i działał na własną rękę, a szkoda, bo plan Dumourier'a był trafny. W krakowskiem pod Lanckoroną stoczył Kazimierz Pułaski utarczkę z Moskalami nieszczęśliwą dla siebie, w której padło 200 naszych, między nimi młody książe Sapieha. Konfederacya mimo poświęcenia i ofiar miała się ku końcowi. Ze smutkiem powiedzieć, że przygniatała ją nietylko liczebna przewaga wrogów, ale co gorsza, kłótnie między starszyzną konfederacką. Brakło jednego człowieka, któryby górował talentem i ujął sprawę w swe ręce, zbiorowe natomiast działanie starszyny konfederackiej zwanej generalnością, nie odpowiadało celowi,

tembardziej, że gorszące klótnie nurtowały w tym gro-  
nie. Ostatecznie dobili się konfederaci nie szczęśliwym  
zamachem na osobę króla Stanisława Augusta. W kilku  
niedowarzonych głowach zrodziła się myśl, że jeżeli  
konfederaci wezmą króla w moc swoją i ogłoszą bez-  
królewie, to sprawa narodowa bardzo na tem zyska.  
Jakoż kilku konfederatów między nimi Łukawski,  
Strawiński, Kuźma i inni, zaczęli się w Warszawie  
na ulicy Miodowej na króla, mającego powracać  
z wieczoru od wuja swego księcia Czartoryskiego.  
Król jechał bez eskorty, wywleczono go więc z ka-  
rety, wsadzono na konia i wywieziono z Warszawy.  
Spiskowi nie znali okolic Warszawy, pogubili się  
więc za rogatkami i jeden tylko Kuźma przy królu  
na straży pozostał, który go odprowadził do pobliz-  
kiej karczmy. Tutaj to udało się wymownemu Stani-  
sławowi Augustowi za pomocą zręcznych zwrotów roz-  
czulić Kuźmę, czego wynikiem było wywinięcie się  
z trudnego położenia i powrót do stolicy. Kuźma za  
ułatwienie królowi powrotu, uwolniony od kary, hoj-  
nie pieniędzmi nagrodzony, ale pod warunkiem wy-  
jazdu za granicę. Łukawski zaś i Strawiński schwy-  
tani zostali, następnie ukarani śmiercią. Sprawiedli-  
wość każe powiedzieć, że król Stanisław August,  
który przy wielu wielkich wadach miał niepospolitą  
cnotę przebaczenia uraz, chciał im wybaczyć, nacisk  
jednak z Petersburga nie pozwolił na to, a to w tym  
celu, aby pogłębić jeszcze przepaść między królem,  
a patriotyczną częścią narodu. Następstwa chybio-  
nego porwania króla były dla Polski zabójcze. Dra-  
pieżni bowiem sąsiedzi głosili w całej Europie, że

konfederaci chcieli króla zamordować, i że ten ich krok, grożący ruiną podstawom społeczeństwa i zgorzeniem innym narodom, wymaga koniecznie, aby ościenne potęgi przywróciły w Polsce zachwiany porządek. Wszystko to było ohydny kłamstwem, bo konfederaci przed podjęciem tej nieszczęśliwej wyprawy, związali się przysięgą, że Stanisławowi Augustowi żadnej nie wyrządzą krzywdy. Kazimierz Pułaski powiedział wtedy wyraźnie: «potrzebujemy króla mieć w rękach swoich, zachowamy jednak winne poszanowanie dla jego osoby, bo mogą sąsiednie narody mordować swych władców, katolickie jednak i polskie ręce, nigdy się krwią pomazańca nie zmażą». Mimo tego obwiniano Pułaskiego o chęć morderstwa króla i to był powód, że musiał opuścić Częstochowę, by ująć miecza katowskiego i nie ściągnąć zemsty na głowy swych towarzyszy. Wiadomość o smutnym losie kraju, to jest o przygotowywującym się rozbiorze Polski spotkała Kazimierza Pułaskiego w okolicach miasteczka Rozprzy, kędy się był wyprawił dla ukarania wspomnianego powyżej Zaremby za oderwanie się jego od konfederacyi. List oddany podczas drogi a skreślony ręką przyjaciela naglił pana Kazimierza do wyjazdu za granicę. Pułaski wraca do klasztoru Częstochowskiego, zamyka się z podwładnym sobie oficerem Radziwińskim i przez godzinę wśród ciszy nocnej naradza się z nim. Potem przyszedł pan Kazimierz do celi przyjaciela swego rotmistrza Macieja Rogowskiego i w te doń odezwał się słowa: «Panie Macieju! bardzo źle z naszą sprawą. Wiesz, panie bracie, że nie desperowałem

nigdy, ale tym razem, gdy trzy potencje przeciw nam się zdeklarowały, a alianci nic nie robią, widzę, iż niepodobna się bronić. Możnaćby wprowadzić mur głową przebić, aleby się i głowa strzaskała; a ta głowa może się zdać jeszcze na coś, gdy złe czasy przeminą. A co więcej, że oporem święty ten Dom Boży Rodzicielki, doznałby jakiej krzywdy i ciężkiej zniewagi od schizmatyków i lutrów» <sup>1)</sup>. Pan Maciej rzucił się w objęcia ukochanego wodza zapewniając, że wszędzie mu towarzyszyć gotów. Poczem Pułaski zrzucił swój wspaniały strój huzarski i przyoblekłszy się w skromną cywilną odzież, pospołu z Rogowskim i ulubionym swym pacholkiem Bogdankiem, Częstochowę opuścił. Załoga klasztorna nie wiedziała o tem, zachowano naumyślnie wobec niej tajemnicę, aby jej wyjazd wodza wytłomaczyć w chwili spokojniejszej. W tym celu złożył Pułaski pisemne pożegnanie wystosowane do załogi w rękach mianowanego przez siebie komendantem Częstochowy owego Radziwińskiego. Pożegnanie owo zawarte było w tak pięknych słowach i tchnęło tak gorącym uczuciem, że przy jego odczytywaniu nazajutrz, nawet najtwardsi wásacze płakali jak bobry.

O Macieju Rogowskim wypada zrobić wzmiankę, bo jemu przedewszystkiem zawdzięcza historia wiadomości, odnoszące się do szczytnej postaci Kazimierza Pułaskiego. Maciej Rogowski powróciwszy z Ameryki, do której z marszałkiem Kazimierzem Pułaskim pospieszył, napisał pamiętniki, poświęcone gło-

---

<sup>1)</sup> Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego str. 14.

wnie działalności Pułaskiego. Odznaczają się one taką zamaszystością żołnierską, taką dosadnością wyrażen i tryskają takim czerstwym staropolskim humorem, że je śmiało można postawić obok pamiętników Paska. W dowcipach swoich zbliża się pan Maciej do nieśmiertelnego Zagłoby, w którym mistrzowskie pióro Sienkiewicza uwieczniło staropolską weselość. Po śmierci pana Macieja Rogowskiego, która go spotkała na dzierzawie wsi położonej na Kujawach, pamiętnik razem ze spadkiem dostał się siostrze nieboszczyka. Niewiasta ta jednak więcej codziennym sprawom gospodarstwa, niż literaturze holdująca, umieściła cenne zapiski na półce w spiżarni, gdzie je czekał Ios, będący często udziałem piśmiennych zabytków, gdy się dostaną w moc nieoświeconych ludzi. Klucznica, spadkobierczyni naszego rotmistrza, brała pod placki karty z tych pięknych wspomnień. Dopiero znany zaszczytnie w piśmiennictwie polskim Konstanty Gasiński wydobyl pamiętnik, ale już tylko połowę zdolał od zniszczenia ocalić. Część pierwsza, obejmująca opis bojów konfederackich, uległa zniszczeniu. W pozostałym pamiętniku mamy przedstawiony wyjazd pana marszałka z Częstochowy, następnie podróż do nowego świata, udział jego w powstaniu amerykańskim i nakoniec bohaterską śmierć pod Savannah. W tych pamiętnikach znajduje się o Pułaskim daleko więcej wiadomości niż w dziełach traktujących o Konfederacyi Barskiej. Ponieważ styl pamiętników jest prawdziwie na wagę złota, więc dla zapoznania z nim czytelnika przytaczać będziemy od czasu do czasu całe stamtąd ustępy.

Opuściwszy cudowny przybytek częstochowski, długo wśród nocy mknęło w milczeniu trzech tułaczy. Niepewna przyszłość, żal za ojczyzną w tak strasznych podówczas terminach będącą, krwawił czule serca tych zacnych ludzi. W modlitwie tylko głęboko religijne ich dusze znajdowały ukojenie i osłonę przed czarną rozpaczą, która jest zawsze w ciężkich przejściach udziałem ludzi, którzy zapomnieli o Bogu. Kiedy słońce rozproszyło ciemności nocy i ozłociło swymi promieniami te niwy ojczyste, które rzucali zmuszeni dłonią zawistnego losu nie wiedzieć na jak długo, zwrócili łzawe oczy w stronę Częstochowy śledząc, ażali nie ujrzą jeszcze panującej nad okolicą wieży przybytku Maryi. Zniknęła już z powierzchni, zdało im się tylko, że wiatr przynosi do ich uszu jakieś hymny śpiewane przed ołtarzem Królowej Nieba niby z pożegnaniem i błogosławieństwem dla tych bojowników za wiarę i ojczyznę.

Przez Śląsk podążali do stolicy Saksonii, Dreżna. Tu jeszcze nie czuli tak samotności, bo przejeżdżali przez kraj od wieków wprawdzie oddzielony od wspólnej matki, ale polski mimoto, jakby na przekór wszystkim cudzoziemskim wpływom. W Dreźnie zastali dosyć Polaków, bo stosunki Polski z Saksonią od r. 1697, to jest od chwili, w której książę saski został królem polskim jako August II., były nader żywe. Za Augusta II., jako też i za syna jego króla polskiego Augusta III. zmarłego w r. 1763, wielu Polaków odwiedzało Dreżno i stąd datowały się ściślejsze między nami a stolicą Saksonii związki. W cza-

sie konfederacyi było żywe pragnienie, aby nie lubianego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego zastąpić na tronie księciem saskim Karolem. Gorącym stronnikiem tego Karola, pragnącym ozdobić jego skronie koroną Chrobrego, był także pan marszałek konfederacki, Kazimierz Pułaski. Obecnie, gdy konfederacya upadała, wielu z wybitniejszych jej uczestników ratowało się przed prześladowaniem ucieczką do Drezna w nadziei, że ów książę Karol w interesie własnym rozwinie jakąś działalność, niedozwalającą na uszczuplenie Rzeczypospolitej. Z tą nadzieją jechał do Drezna także Pułaski, bo równie jemu, jak i wielu współczesnym nie mogło się pomieścić w głowie, aby chrześcijańska Europa patrzyła bezkarnie na rabunek i rozbój popełniany na narodzie, który był przedmurzem chrześcijaństwa, który bohaterską pierśią osłaniał od tureckiej i moskiewskiej dzieciny, cywilizacyę i wolność, który niósł na daleki wschód naukę Chrystusa i pochodnię zachodniej oświaty. Przybywszy do Drezna, zastał tu wielu Polaków, częścią należących do stronnictwa saskiego, częścią wojażerów, szukających w Saksonii spokojnego przytułku w czasie zamieszek krajowych. Tych rozbitków kojarzyła w swym domu zacna matrona pani Moszyńska. Błoga to była chwila, gdy w tem morzu niemieckiem znaleźli w domu jakby zaciszną wyspę, na której brzmiały dźwięki naszej drogiej mowy przemawiającej do serca silniej, niż najpiękniejsza muzyka, gdy jesteśmy zdala od swoich wśród ludzi obcego języka. Ale jak na niebie pogodnem rzadko braknie chmurki, tak też i w życiu człowieka

nie ma prawie takiej pogody, żeby obłok smutku nie zasępił choćby na chwilę naszego czoła. To było udziałem w Dreźnie naszych tułaczy. Zaledwie pan Kazimierz odetchnął po znojach długiej i nużącej podróży, zaledwie w kółku rodaków doznał jakiejś ulgi, kiedy podła potwarz straszliwie go dotknęła. W Dreźnie bawił jakiś Lisicki, człowiek zły, lekceważący imię drugich, dla tej prostej przyczyny, że sam był pozbawionym wartości moralnej. Otóż ten Lisicki jał rozpuszczać bajki po Dreźnie, że Pułaski dlatego opuścił kraj i walczące szeregi, bo Moskale przekupili go, dawszy mu 2.000 czerwonych złotych. Niestety w narodzie naszym, który ma dużo cnót i cennych przymiotów wśród wad i przywar, opóźniających nasze odrodzenie, powszechnem jest prawie niktzemne szkalowanie ludzi zasłużonych ojczyźnie. Nizkie serca i poziome charaktery nie mogą znieść tego, by się zasługa wybiła nad innych, a nie mogąc jej zaprzeczyć, rzucają na nią błotem, w tem przekonaniu, że z tego coś zawsze przylgnie. Pastwą oczernienia był ojciec naszego Kazimierza, nie uszedł zbrodniczych języków i syn jego Kazimierz, choć był czysty jak łąza.

Gdy Pułaski dowiedział się o niecnym, szarpiących sławę wieściach, wyzwał Lisickiego na pojedynek i naznaczył go, obcinając mu ucho. Mógłby mu być głowę rozplatać, bo był rębaczem pierwszej wody, ale darował wspaniałomyślnie życie nędznikowi, ograniczając się na tej bolesnej dla bajczarza nauczce. W Dreźnie bywał często na pokojach księcia Karola, gdzie odnajdywał wskreszenie najpię-

kniejszych marzeń i najgorętszych uczuć zarania swej młodości. Książę Karol ożeniony był bowiem z Franciszką Krasińską, córką Stanisława Krasińskiego, starosty nowomiejskiego. Pan Kazimierz bywał często dawniej w domu starosty, z którym ojca jego zażyłej przyjaźni łączyły węzły i tutaj to w szesnastoletnim chłopcu zrodziło się uczucie gorącej miłości dla hożej i uroczej panny Franciszki. Podobno, że i panna nie była obojętną dla urodziwego młodziana, gdy jednak królewicz Karol oświadczył się o jej rękę, zapomniała o dawnym wielbicielu, przekładając nad niego koronowanego oblubieńca. Pułaski uczuć nie zapomniiał do grobowej deski, a jako dobry katolik widząc, że Sakrament rozdzielił go z ukochaną na zawsze, zachował dla niej bezinteresowną przyjaźń na zewnątrz, a w głębi duszy tłumione uczucie. W Dreźnie na zamku książęcym miał sposobność się przekonać Pułaski, że blask ziemski nie zawsze idzie w parze z zadowoleniem i poznał, że Krasińska z nim pod skromnym dachem szlacheckim szczęśliwsząby była, niż na stopniach tronu z lekkomyślnym mężem, oddanym przyjemnościom życia i niezbyt godnym pochwały pohulankom. Bolało go to niezmiernie, ale milczał, jak grób, raz tylko dając folgę wzbierającemu w jego piersiach smutkowi w tych krótkich słowach: «Panie Macieju! purpura i honory nie dają ukontentowania i satysfakcyi, ta biedna Franusia nie jest szczęśliwą».

Przebywszy kilka miesięcy w Dreźnie, opuścili nasi konfederaci to miasto udając się do Frankfurtu. Tutaj to dowiedzieli się szczegółów o rozbiorze Pol-

ski od przybyłego z kraju Wielichowskiego. A nadto w tym czasie wyczytali w gazetach, że Pułaski obwiniony niesłusznie o królobójstwo na karę miecza skazany został. Oburzony do żywego pan Kazimierz tym aktem niesprawiedliwości i tą niezasłużoną hańbą, napisał w pełnych godności słowach swe usprawiedliwienie i protest i te przesłał do gazety holenderskiej wydawanej w języku francuskim. W Holandyi bowiem cieszyła się podówczas prasa większą, niż gdzieindziej swobodą, tam też wychodziły i dzienniki przeznaczone dla Francyi, a piszące to, czegooby u siebie w kraju wydrukować nie mogły.

W tych czasach była wojna Moskali z Turcyą, sultan bowiem zaniepokojony gospodarką moskiewską w Polsce, wypowiedział carowej wojnę, do której Polacy wielkie przywiązywali nadzieje. Turcy odwieczni nieprzyjaciele krzyża i Polski, pogromieni raz na zawsze przez naszego króla Jana III. Sobieskiego pod Wiedniem, teraz stawali w naszej obronie zaniepokojeni nadzwyczajnym wzrostem potęgi moskiewskiej. Siły jednak i waleczność turecka nie była teraz już taka, jak dawniej, przekupstwo grasowało w Konstantynopolu na dobre, złoto moskiewskie znajdowało przystęp do najwyższych nawet urzędników ottomańskich. Więc też ta wojna sprawie naszej pożytku nie przyniosła. Pułaski w swej miłości dla ojczyzny granic żadnych nieznający, gotów w każdej chwili do ofiary z życia dla tej świętej sprawy, udał się na plac boju, aby obok Turków, bić się z Moskalami i w tym celu wyjechał z Frankfurtu dnia 10 grudnia 1774 r. Dążył do Sylistryi, miasta

w Bułgaryi leżącego, który to kraj był podówczas pod panowaniem Porty. Okolice Sylistryi i wogóle linia Dunaju była teatrem krwawych zapasów Moskali z Turkami. Droga prowadziła przez Wenecję, skąd morzem udano się na plac boju. Pan Maciej Rogowski tak kreśli wrażenia podróży: «Widziało się rzeczy ciekawych dosyć, krajów i miast zagranicznych niemal i ludzi rozmaitych nacyi jakoto: Niemców, Szwajcarów, Włochów, Dalmatów, Serbów, Bułgarów etc. Ale że ja tu w tych księgach postanowiłem mówić tylko o wypadkach politycznych, związek z krajem naszym mających, więc o tem wszystkiem zamilczę — relacye owych rzeczy, przyzwoitsze geografom i uczonym niż mnie człowiekowi rycerskiemu, zostawiając. Wspomnę tylko, że miasto, które mi się najlepiej podobało, była Wenecya, gdzieśmy około tygodnia wypoczywali. Wenecya słusznie przez mieszkańców swoich piękną nazwana, wybudowaną jest w wodzie, zapewne na palach dębowych, a mieści w sobie pałace i kościoły tak bogate i tak misternej struktury, jakich ani w Warszawie, ani w Krakowie nie widziałem. Oprócz rynku kształtnymi gmachami otoczonego niema innego miejsca do przechadzki, wyjąwszy mostów. To też jak zapamiętają najstarsi ludzie, nigdy nie widziano w Wenecyi ani kolaski ani konia i mieszkańcy do odwiedzin i interesów używają długich czółen pokrytych dachem i czarno malowanych, które gondolami zowią. Lud tam bardzo ruchawy i wesoły, a kobiety dziwnej urody i dla cudzoziemców z wielkim afektem».

Droga z Wenecyi odbyta okrętem przeszła bez

większych przygód, a u kresu, t. j. w Sylistryi czekała naszych podróżnych miła niespodzianka, bo spotkali tu do czterdziestu konfederatów polskich, którzy zmuszeni ojczyznę opuścić, przywiezieni tu zostali żądzą walki z odwiecznym wrogiem naszym. Nazajutrz przyjął z wielkimi honorami Pułaskiego miejscowy basza turecki, oświadczając w pochlebnych bardzo słowach, że znane mu są wojskowe zdolności i zasługi pana marszałka. Ponieważ basza nie umiał żadnego języka tylko turecki, Pułaski zaś dobrze mówiący po francusku i łacinie, tureckiego języka nie znał, więc porozumiewał się z baszą przez tłumacza, za którego służył jakiś Suski, Polak, który po wzięciu fortecy Baru przez Moskali, do Turcyi uciekł. Nie wsmak było naszym wiarusom to spotkanie się z owym Suskim, bo im szeptano na ucho w Sylistryi, że człowiek ten przeszedł na wiarę muzułmańską. Zapytali go więc nasi, czy to prawda, że jest renegatem, gdy jednak przysięgą zaręczył, że to potwarz, zbliżyli się doń, przeprasząc za mimowolnie wyrządzoną przykrość. Nad czterdziestoma przeszło Polakami, rozbitkami z konfederacyi, objął tutaj komendę Kazimierz Pułaski. Jął się gorąco pracy na nowym posterunku i wypełniał dnie poprzedzające bój ćwiczeniem swego oddziałku według systemu niemieckiego, który za granicą poznał, i w którym się rozmiłował. Serdeczny poza służbą ze swoimi wiarusami umiał utrzymać powagę na polu obowiązku, jak przystało na naczelnika. Między wojakami pana Kazimierza był jakiś konfederat Sulmirski, tęgi rębacz ufający jedynie szabli i silnej

ręce. Ten począł krytykować nową metodę: «poco nam te niemieckie figle i korowody, kiedy mamy naszą krzyżową sztukę i staropolskie nabij i zabij». Pułaski dowiedział się o tem i wypalił sierdzistemu zawadyakowi siarczystą reprimendę: «Krzyżowa sztuka, panie bracie, dobrą była na dawne czasy, ale teraz, gdy nieprzyjaciele nasi coś więcej od nas umieją, musim się ich sekretu uczyć, aby im w bitwach podolać. A zresztą dobre czy złe, taka moja wola. Szefem malowanym być nie myślę, i kto mi się oddał w komendę, musi mię słuchać» <sup>1)</sup>.

Tak ćwicząc się przez dzień, a wieczorami gwarzając o drogiej ojczyźnie i lepszych dla niej nadziejach, urządzając sobie kiedy niekiedy małą «przepitkę i przekąskę» przepędzali czas w oczekiwaniu, rychło zmierzyć im się przyjdzie z wojskami moskiewskimi, dowodzonymi przez Potenkina i Rumiancowa. Najbardziej bolało naszych ziomków, że w Sylistryi nie było ani kościoła ani księdza katolickiego. Gromadzili się więc w niedzielę w wielkiej izbie, gdzie najstarszy wiekiem odczytywał głośno modlitwy ze «Złotego Ołtarzyka», które całe grono za nim głośno powtarzało. Raz tylko przyszło do boju pod tą twierdzą, z której nasi uczyniwszy wycieczkę, wyśmienicie się popisali. Ponieważ nieprzyjaciele główną uwagę zwrócili na jądro armii tureckiej w Szumli pod dowództwem wielkiego wezyra zostającej, więc Pułaski w nadziei, że mu tam nie zabraknie pracy na krwawym zagonie, pospieszył ze swymi druhami

---

<sup>1)</sup> Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego str. 29.

pod Szumłę z pismem polecającem od baszy Sylistryi. Ów wielki wezyr przyjął wprawdzie naszych bardzo serdecznie, a pana Kazimierza z wielkimi honorami, ale sam nie dorósł do zajmowanego przez siebie stanowiska. Żołnierz turecki był rosły i dobrze uzbrojony, zbytek jednak i przepych rozpościerający się w namiotach wyższych oficerów, zdradzał ich zniewieściałość i zamilowanie w wygodach, co nigdy nie chodzi w parze z dzielnością i wytrzymałością żołnierską. Zmartwił się tem pan Kazimierz, bystre jego oko dostrzegło stron słabych, a w wielkim wezyrze poznał odrazu miękkiego delikatka bez hartu, stanowczości, męstwa i zdolności. Rzekł też z goryczą do Rogowskiego: «Nie będzie panie bracie chleba z tej mąki, ci Turcy do niczego nie zdatni, krew zastygła im w żyłach, zatyli i zasnęli; Moskale ich przebudzą, ale już będzie zapóźno».

Pocieszał wprawdzie pana Kazimierza znany mu jeszcze z Chocimia Osman, aga janczarów przedniej piechoty tureckiej, dowodząc, że dopiero w boju pokaże się bitność zastępów padyszacha. Nie ziściło się to niestety. Gdy Turcy siedzieli w zupełnej bezczynności w swym obozie, moskiewski generał Rumiancow okrążał ich cichaczem, a równocześnie drugi generał moskiewski Sołtykow napadł na korpus turecki konwojujący zapasy żywności do głównej kwatery. Tu się dopiero pokazało, jak lichą była podówczas armia turecka, tak sławna niegdyś ze swej waleczności i zwycięstw. Sołtykow wojsko to rozproszył i zabrał cały zapas żywności. Gdy wiadomość tę doniesiono wielkiemu wezyrowi w chwili bar-

dzo groźnej, bo już miał wtedy Rumiancowa na karku, stracił zupełnie głowę dygnitarz sultański, pokładając całą nadzieję w ucieczce. Wprawdzie Pułaski dowodził starszyźnie tureckiej, że położenie nie jest jeszcze tak groźne, jak im się zdaje, że należy stoczyć walną bitwę, która bardzo łatwo może im dać palmę zwycięstwa, ale wobec przerażonych baszów były te rady głosem wołającego na puszczy. Nastąpił popłoch nie do opisania, odmalowany bardzo barwnie przez naszego pamiętnikarza, który musiał tę chwilę uważać za niezbyt przyjemny moment swego żywota: «Turecy, gdy im się na pierwszym kroku noga pośliznie, tracą głowę, desperują i w rozsypkę idą bez oporu. Tak się też stało, a jak, to trudno słowami opisać lub pojąć, świadkiem naocznym niebywszy. Chyba w straszny dzień zmartwychwstania i sądu, coś podobnego grzeszne moje oczy obaczą. Bo powstało takie zamieszanie i ozwały się takie krzyki i lamenta, jakich jeszcze ludzkie ucho nie słyszało, chyba może w dzień potopu lub ognia padającego na Sodomę. Pułaski przedarł się do namiotu wielkiego wezyra, żądając ordynansu, co miał robić, a niedoleżny wezyr, którego już wsadzono na konia, odpowiedział mu, iż żadnego szczególnego rozkazu mu nie daje, ale niech to robi, co będą inni robić. A że inni robili fugas chrustas, więc i my z bólem serca poszliśmy (jak to mówią) drapaka. Wdawszy się w komitywę z wronami, trzeba krakać, a z Turkami uciekać: choć to dawniej u nich nie tak bywało»<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Reszty pamiętników Macieja Rogowskiego str. 31.

My zaś ze swej strony dodać musimy, że i dziś tak u Turków nie jest. Ostatnia wojna moskiewsko-turecka rozgrywająca się na półwyspie bałkańskim w latach 1877—1878 wykazała chlubnie nadzwyczajne męstwo, wytrzymałość i pogardę śmierci jako przymioty cechujące tureckiego żołnierza. Moskale tylko z największym trudem, dzięki pomocy Rumunii, błędów niektórych wodzów tureckich i brakowi pieniędzy w skarbie tureckim zdołali odnieść zwycięstwo.

W opowiadanych przez nas czasach był chwilowy upadek ducha i on to do tak sromotnych doprowadził skutków. Srom pod Szumlą był niebywały. Ogromne wojsko bez walki, prawie bez wystrzału, rozbiegło się na wszystkie strony świata, zostawiając w ręku Moskali, tryumfujących tak łatwo, cały swój obóz, pelen kosztownych łupów. Trwoga była tak niesłychana, że jeszcze wtedy, kiedy ich nikt nie gonił, zmykali strusimi krokami, przyzywając na pomoc Allaha <sup>1)</sup>. Oddziałowi naszych wygnańców nie było wobec tego czego zazdrościć. Nie tylko doznali zawodu, opierając nadzieje ojczyzny na pomocy tureckiej, nie tylko szarpał i serce widok odniesionego zwycięstwa przez swych wrogów Moskali, ale jeszcze spotkały ich niezasłużone zniewagi. Turcy zaślepieni swym fanatyzmem religijnym, poczęli na naszych wymyślać i wygrażać pięściami dowodząc, że tę klęskę ściągnęli na głowy ich Polacy, że ich Pan Bóg skarzał i jego prorok Mahomet za związki z chrześcijanami. Przez całą drogę wystawieni

---

<sup>1)</sup> Pan Bóg po turecku.

byli nasi na te pogrożki i wyzwiska. Nakoniec, gdy się rozłożyli pod wieczór obozem, znany nam pan Maciej nie mógł już wytrzymać i skarcił kordem najzawołanszego krzykacza. Jeden najbliższy mnie, wrzeszczał na całe gardło: «Issewa hazyr». Ja pytam Suskiego, co on mówi. Suski mi mówi, że to znaczny «świnie chrześcijanie». Takiś to poganinie, myślę sobie, poczekaj! A gdy on kontynuuje swoje obelgi, niecierpliwość mnie wzięła. Zaswędziło mnie w prawej łapie, więc dobyłem korda i obces na niego. Wziął się Turek do szabli, złożyliśmy się parę razy, ale jakem lunął po gołym karku, zwałił się z siodła. Na nieszczęście, ta moja porywczosć ściągnęła wielkie nieszczęście. Turcy widząc zabitego kompana, rzucili się na Polaków i zaczęła się zacięta bójka. Biliśmy się jakie pół godziny. Już sześciu naszych leżało zabitych, ale Turków padło ze dwudziestu, więc już zaczęli rejterować; aż nowy oddział nadciągający dodał im serca i wszyscy rzucili się na nas. Byłoby nam ciepło, bo ich nadciągnęła chmara, przeszło dwustu, a Polaków było ledwie trzydziestu. Szczęściem Opatrzność Boża czuwała nad nami, bo dowódcą nowego oddziału, był ów Osman Aga, Pułaskiego przyjaciel, który wstrzymał swoich i sprawę zagodzono<sup>1)</sup>.

Bez przygód już dotarły rozbite wojska do miasta Adryanopola. Gród ten starożytny, założony w II. wieku ery chrześcijańskiej, przez cesarza rzymskiego Hadryana, udzielił przytułku na czas dłuższy panu Kazimierzowi i jego towarzyszom. W mieście tem mie-

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Rogowskiego str. 33.

szkało podówczas dosyć chrześcijan, przeważnie kupców, po większej części narodowości francuskiej. Ci, gdy się dowiedzieli, że między przybyłym wojskiem jest oddział Polaków, rozebrali ich na kwatery po swych domach, podejmując z nadzwyczajną serdecznością. Pana Pułaskiego i pana Macieja zaprosił do siebie bogaty francuz nazwiskiem Arnoux. Na drugi dzień po wprowadzeniu się do owego francuza, przybył niespodziewanie do Adryanopola ulubiony Pułaskiego pacholek, Bohdanek. Pan Kazimierz miał go już za zabitego, mniemając, że w onem zamieszczeniu pod Szumlą został zabity, lub wzięty do niewoli. Bohdanek jednak złożył dowody wielkiej przytomności, bo w chwili popłochu zebrał rzeczy swego pana, a następnie przytroczywszy je do konia, puścił się w pogoń za uciekającym wojskiem bocznymi drogami.

Nie długo zażywał Pułaski słodkich wywczasów wśród życzliwej mu rodziny, bo smutny stan materialny innych konfederatów, zmusił go do podróży do Konstantynopola, celem wyjednania jakiegoś żołdu, dla bawiących w Adryanopolu Polaków. Podróż ta nie była bezzowocną zwłaszcza, że zabiegi Pułaskiego poparł w Stambule tamtejszy poseł francuski nazwiskiem de Saint-Priest. Dzięki temu, rząd sultański przeznaczył polskim wiarusom na miejsce pobytu miasto Rodosto, położone nad morzem Marmora, a leżące o dwadzieścia kilka mil od Konstantynopola. Przenieśli się tam więc w nadziei, że niebawem wyruszą w pole przeciw Moskwie, z którą wojna dotąd nie była ukończona. Podczas kiedy reszta drużyny

pozostała w Rodosto, Pułaski z Rogowskim udali się do Konstantynopola. To jednak, czego się tam dowiedzieli, nie było wcale pomyślnem. Oto właśnie w tych czasach w 1774 stanął pokój między Turcyą a Moskalami w Kuczuk-Kajnardzi. Pokój ten zawierała Turcyja pod bardzo ciężkimi dla siebie warunkami, odstępowała bowiem Rosyi kilka warownych miejsc, leżących nad morzem Czarnem, zrzekała się zwierzchnictwa nad Tatarami zamieszkującymi Krym, dawała Rosyi zupełną wolność żeglugi na wodach morza Czarnego, a nadto przyznawała tej ostatniej prawo protektoratu nad Moldawią, Wołoszczyzną i wogóle chrześcijanami wyznania wschodniego w państwie ottomańskim. To ostatnie pozwalało caratowi mieszać się ciągle w wewnętrzne sprawy tureckie. Do dnia dzisiejszego występują Moskale bardzo często w roli obrońców chrześcijan poddanych sultana, a to mimo tego, że sułtan z obcemi wyznaniem stokroć lepiej się obchodzi, niż biały car i sfera jego czynowników. Wszakże to rząd moskiewski w latach 1874 i 1875 mordował lud unicki na Podlasiu i Hrubieszowskiem za to, że ten się nie chciał wyprzeć swej wiary. Wszak do dziś dnia zbrodnicza ręka zbirów schizmatyckich targa najświętsze węzły rodzinne, oddzielając żonę od męża, dzieci od rodziców zato, że ci są wierni swojemu wyznaniu. Tak się dzieje do dziś dnia z ludnością unicką, a z czasem, gdy się wzmoże potęga Moskwy, ten sam los czeka katolików łacińskiego obrządku. Wszakże i tych ostatnich przed sześciu laty mordowano w podwojach

kościół w Krożach, wskrzeszając temi bezceństwami czasy Neronów i Dyoklecyanów.

Pokój w Kuczuk-Kajnardzi, będąc tryumfem carowej Katarzyny, był nie tylko porażką Turcyi, ale także i Polski, która po tej wojnie wiele sobie obiecywała. Ten wynik turecko-moskiewskich zapasów, odbierając naszym wygnańcom ostatnią deskę ratunku, skłonił ich do wysłania prośby do króla Stanisława Augusta do Warszawy, by im pozwolił wrócić do kraju i rzeczywiście przychylna odpowiedź na tę prośbę przyszła, skutkiem czego prawie wszyscy przebywający w Rodosto, wrócili w ojczyście progi. Pułaski jednak ani mógł, ani chciał pójść śladem swych towarzyszy. Nie mógł, bo jak wiemy, obwiniono go najniesłuszniej o królobójstwo, którego ani on, ani nikt z jego towarzyszy nie miał zamiaru wykonać. Wprawdzie pan Kazimierz zaprotestował przeciw potwarzy, ale tego nie uznano, bo Moskwie zależało na zniesławieniu jego i całej konfederacyi. Nie chciał wracać do kraju, choć schnął z tęsknoty za nim i niczego tak nie pragnął, jak ujrzeć polską ziemię i ojczysem odetchnąć powietrzem, ale wiedział, że chcąc tam wrócić, musiałby się upokorzyć przed królem, którym gardził, a na krok taki sumienie jego nie pozwalało. Został więc w Konstantynopolu, myśląc nad tem, gdzieby swe kroki zwrócić. Konstantynopol liczący dziś blisko milion mieszkańców, zwany po turecku Stambuł, a po serbsku Carogród, leży w cudnem położeniu. Miasto to założył w r. 326 pierwszy chrześcijański monarcha Konstantyn Wielki na miejscu starożytnej osady greckiej

Bizancyum. Miasto to leżące na granicy Europy i Azji, lśniące się wieżycami kościołów i minaretami meczetów, otoczone wieńcem kwiecia i zieleni, skąpane złotem słońcem południa, a odbijające się w lazurze morza, w zachwyt wprawia zbliżającego się do tych murów wędrowca. Gdy się jednak przekroczy bramę starożytnego grodu, wrażenie słabnie, w krętych bowiem i wąskich uliczkach spotyka się co krok nietylko obdartą i brudną ludność, ale stada zdziczałych bezdomnych psów, kupy śmieci, padlinę i wszelkie nieczystości. Z wyjątkiem przedmieścia Pery, gdzie mieszka ludność chrześcijańska i gdzie skutkiem tego panuje czystość, cały zresztą Stambul jest stekiem brudu i wszelkich nieczystości. Tak jest tam dzisiaj, tak było i dawniej. To też pan Maciej napiętnował to w swoim pamiętniku z humorem i właściwą mu dosadnością w tych wyrazach: «Stambul miasto ogromne, zdaleka niewymownie piękne; ale gdy wejdiesz w środek, to co innego się święci. Wyjawszy pałaców należących do sułtana, koszar wojskowych i bazarów, gdzie kupcy z towarami siedzą, inne domostwa drewniane, małe, bez okien i ganków a na ciasnych ulicach chmara psów, osłów, koni i tureckiego tałatajstwa, brudnego i obdartego, jak polscy żydowie. Wszędy korupcya w powietrzu i zabijające fetory, co musi niepomału pomagać dżumie do propagowania się. Na przedmieściu chrześcijańskim trochę niby schludniej i porządniej, ale nie bardzo. Słowem trzeba Stambul admirować nos zatkawszy i patrząc zdaleka, bo wtenczas widać tylko białe wieże i kopuły meczetów bardzo kształtnej

struktury, a nad niemi niebo pogodne granatowego koloru. Tuśmy siedzieli trzynaście miesięcy, był więc czas wszystkiemu się napatrzeć. To też wszystko widziałem wyjąwszy dwóch rzeczy: środka meczetu, gdzie chrześcijan nie puszczają i oblicza żadnej Turkini, ponieważ niewiasty wychodzą na ulicę tak zakapturzone, że mają tylko otwór na oczy, który to zwyczaj egzystuje nie z przyczyny skromności i wstydlowości białych głów onych, ale z przyczyny zadości wielkiej brodatych Turków<sup>1)</sup>.

W Konstantynopolu bywali często nasi rodacy u przedstawiciela Francyi, znanego nam pana de Saint-Priest. Pod jego dachem znaleźli serdeczną gościnność i zawsze wiele wiadomości ze świata politycznego, co dla nich w tej chwili ze względu na Polskę, miało znaczenie pierwszorzędne. Życie ich jednak nie było wolnem od ciężkich bardzo przykrości: niepewna przyszłość, życie bez jutra i brak materyalny coraz bardziej dolegający, oto w pierwszym rzędzie te rzeczy gniotły naszych tułaczy. Podówczas uwaga całego cywilizowanego świata zwróconą była na Amerykę, gdzie wybuchło powstanie przeciwko panom ówczesnym Ameryki północnej, Anglikom. Posel francuski otrzymujący codziennie bardzo wiele różnych gazet, rozmawiał bardzo często z Pułaskim o rozgrywających się wypadkach za oceanem. Być może, że właśnie te rozmowy były dlań pobudką do powzięcia postanowienia, które niebawem w czyn zamienił, udając się do Ameryki, by

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Rogowskiego str. 39—40

walczyć za jej niepodległość. Postanowienie było łatwe zrobić, bo od myśli do postanowienia niedaleko, ale od postanowienia do czynu bywa czasem krok tylko jeden, ale często i setki mil. Pana Kazimierza takie zapory od urzeczywistnienia gorących zamiarów nie oddzielały, ale miał przeszkodę bardzo poważną. Brakowało mu pieniędzy. Pan Maciej także wysypał dukaciki z trzosa obecnie na opadłym żywocie przytwardzonego. Brak dotkliwie im się dał uczuć, trzeba się im było liczyć z każdym groszem, odmawiać sobie pierwszych potrzeb, żyć niemal suchym chlebem.

Stanowisko, jakie Pułaski zajmował w Polsce, stanowisko znane w Konstantynopolu równie w tureckich jak i europejskich kołach, wkładało nań obowiązek utrzymania się na pewnej wyższej stopie. Należało więc uszczuplić sobie we wszystkim, byle tylko na zewnątrz dla ludzkiego oka po pańsku wystąpić. Miał wprawdzie Kazimierz Pułaski w Polsce bogatych krewnych, był nadto dziedzicem dość intratnych włości, ale z przyczyny zamieszek krajowych, żadne fundusze do rąk jego nie dochodziły. Gdy pewnego dnia naradzał się pan Kazimierz z Rogowskim nad tem, co robić, nagle wbiega do komnaty z rozjaśnionem obliczem Bohdanek i prowadzi ze sobą człowieka, który łamanym językiem francuskim powiada, że bankier miejscowy nazwiskiem Zizinia prosi pana Pułaskiego, aby przyszedł odebrać pieniądze. Zdziwił się tem niezmiernie Pułaski, nie mógł w to uwierzyć, mniemając, że jest ofiarą pomyłki. Udawszy się na miejsce, dowiedział się tylko tyle od owego

Zizinii, że bankier warszawski Tepper, przysłał 200 czerwonych złotych dla wręczenia tej sumy Kazimierzowi Pułaskiemu. Pułaski będąc człowiekiem wielkiego i bardzo delikatnego poczucia honoru, nie chciał tych pieniędzy brać, nie wiedząc od kogo pochodzą. Rogowski jednak uspokoił go, oświadczając, że przecież z pewnością ani carowa moskiewska, ani nikt z jej stronników kwoty tej nie przysłał. Nasi rycerze mimo najusilniejszych poszukiwań, nie mogli dojść, kto był ofiarodawcą, najwięcej jeszcze było prawdopodobieństwa, że księżę Karol Radziwiłł, znany pod nazwą «Panie Kochanku». Ów Radziwiłł, dziedzic sześciu tysięcy wsi i trzystu miast, znany był z dowcipu i łgarstw, któremi raczył licznych gości w swym zamku w Nieświeżu, nie lubił także wylać za kołnierz, będąc typowym przedstawicielem czasów saskich, ale obok tych stron czyniących z niego figurę śmieszną, miał też dużo i dodatnich przymiotów. Był człowiekiem religijnym, był prawdziwym ojcem dla poddanych sobie włościan i nadzwyczaj hojnym dla wszystkich nieszczęśliwych. Być bardzo może, że księżę Karol Radziwiłł sam czynny w konfederacyi, koledze, którego czcił, z tą pomocą przyszedł.

Mając pieniądze, ruszyli Pułaski i Rogowski do Ameryki. Drogę obrali dalszą, przez Francję, a to dla zasiągnięcia potrzebnych wiadomości, w Paryżu bowiem bawilo wtedy poselstwo amerykańskie. Posel francuski, pan de Saint-Priest, zaopatrzył Pułaskiego w listy do różnych znakomitości stolicy Francyi. Tak zaopatrzeni, po serdecznej modlitwie do Boga, Najświętszej Panny i królujących w niebie świętych

Patronów Polski, siedli na okręt dnia 4 lutego 1777 roku. Zdążali do Tulonu, a choć dziś parowcami przestrzeń tę przebywa się w przeciągu kilku dni, to w owych czasach żaglowcami zależnymi od zmiennej kaprysów pogody i kierunku wiatrów jechało się znacznie dłużej. Pułaski i Rogowski jechali więc blisko 2 miesiące. Przeprawy mieli na morzu ciężkie, ale też napatrzyli się najpiękniejszym widokom, żeglując po czarujących wodach archipelagu, gdzie mnóstwo rozsiadłych wysepek swą zielonością mile wabi oko. Minawszy archipelag i wyspy greckie ujrzeli urocze czarownej Italii brzegi. Przejeżdżali nieopodal okolo sławnego na cały świat wulkanu Wezuwiuszu, którąto ogniem ziejąca góra, zapisała się w historyi strasznym wybuchem w r. 79 po Chrystusie, przyprawiając o ruinę miasta Herculanium i Pompei. Wulkan ten nie zawsze wybucha, ale bardzo często jest czynnym, nasi jednak podróżni trafili na dzień zupełnego spokoju ku wielkiemu zmartwieniu pana Macieja, pragnącego ujrzeć choćby tylko dym dobywający się z krateru. Przybywszy do portu francuskiego Tulonu, dowiedzieli się nasi rodacy od jednego z wyższych marynarzy miejscowych, że parę dni temu wsiadł na okręt w tutejszej przystani młody Polak nazwiskiem Koszuko. Pułaski z Rogowskim długo łamali sobie głowę, ktoby to mógł być, bo nazwisko brzmiało bardzo z cudzoziemska. Za przybyciem dopiero do Ameryki zagadka rozwiązana została. Ten, którego nazwisko francuski oficer tak niemiłosiernie przekręcił, był Tadeuszem Kościuszką, nieśmiertelnym później obrońcą praw i ho-

noru narododu polskiego. Kościuszko wyprzedził o parę miesięcy do Ameryki Pułaskiego, gdzie się później poznali, w kraju bowiem nieznani sobie byli.

Z Tulonu przez Marsylię i Avignon dojechali do Paryża. Paryż, jedno z najpiękniejszych i najweselszych miast na kuli ziemskiej, wywarł szczególnie na Macieju Rogowskim olbrzymie wrażenie. Pułaski bowiem poważniejszy z natury, zgębiony klęskami ojczyzny mało kiedy rozjaśniał czoło, na którem mu troska nieschodząca chmurą osiadła. Pan Maciej gorący też patriota, ale z natury wesoly, lubił pobaraszkować i tak jak Mikołajowi Rejowi pisarzowi XVI. wieku, światek mu bardzo smakował. Taką też daje charakterystykę stolicy Francyi w swoim pamiętniku: «To mi dopiero miasto nad miastami! co za okazałe budowle, co za przepych w ubiorach, w karetach i cugach, co za ruch! co za wesołość! — Niech się schowa Stambuł i wszystkie jakie widziałem, niemieckie miasta, niech się schowają. Tutaj dopiero życie! coś człowieka porywa i do ruchawości zmusza — i gdybyś postawił na jakiej ulicy żonę Lota, zamienioną w posąg solny, zdaje mi się, żeby się nieboraczka ocknęła i pobiegła śmiać się i weselić z innymi».

Paryż wrzał wtedy życiem gorączkowem. Już podówczas zanosilo się na burzę, która w lat parę potem w roku 1789 wybuchła pod nazwą rewolucyi francuskiej. Stan kraju był już podówczas bardzo groźny, wojny prowadzone za panowania Ludwika XIV-go i Ludwika XV-go wypróżniały skarb i obarczyły państwo wielkimi długami. W dodatku

lud wiejski doznawał srogiego ucisku ze strony swych panów. Dawniej w XVI-go i XVII-go stuleciu, gdy szlachta francuska odznaczała się gorącym duchem katolickim, był stosunek patryarchalny pomiędzy zamkami magnatów i chatami chłopów. W XVIII-go stuleciu zmieniło się to. Wielu pisarzy mając na czele Waltera i Jakóba Ruso zarzucało kraj bezbożnymi pismami, pełnymi bluźnierstw i urągania z wiary. Stany wyższe chłoneły chciwie tę truciznę w siebie, tracąc religię i rzucając się w otchłań wszelkiego rodzaju rozpusty, marnując masę pieniędzy na dogodzenie swym niskim chuciom i wyciskając dochody z nieublaganą surowością z siermiężnego ludu. Lud skazany na ciężką pracę i nękany rozmaitego rodzaju udręczeniami, znajdował się w tych właśnie czasach w położeniu tak rozpaczliwem, jak nigdy przedtem we Francyi. U nas w Polsce, gdzie działały się też nadużycia, dola chłopu nie była nigdy tak opłakaną, jak los wieśniaków francuskich. To, co tak często dziś piszą o uciemieniu polskich włościan pisarkowie moskiewscy i pruscy, o czem perorują wśród rozpilej tłuszczy krzykacze socyalistyczni, co rozszerzają kochani żydkowie, jest przesadzone karykaturalnie i obliczone na to, aby w narodzie naszym zgoda między różnymi stanami, nigdy nie zapanowała. Powtarzamy, że były nadużycia i u nas, był ucisk ludu, ale nigdy taki, jak we Francyi i Niemczech.

Wracając do przerwanej charakterystyki ówczesnego społeczeństwa francuskiego, dodać musimy, że mieszczaństwo francuskie podówczas bardzo oświe-

cone i dość zamożne, zajmowało wobec szlachty stanowisko wielce upośledzone. Wyższe urzędy i stopnie wojskowe zdobyć mógł tylko szlachcie, synowie mieszczan byli od piastowania wyższych godności wykluczeni. To było powodem, że mnóstwo pisarzy walczyło przeciw dotychczasowemu ustrojowi społecznemu wskazując lekarstwa, które każdy z nich na swój sposób zatwarzał. Niestety, jak wyższe stany, tak i owi reformatorzy narodu, byli po większej części niedowiarkami, chcieli więc społeczeństwo uszczęśliwić bez Boga i religii. I dlatego z ziarna przez nich rzuconego, wybuchła straszliwa rewolucya, która krocie ludzi powlekła pod topór katowski, krwią i zgliszczami pokryła Francję od cieśniny Kaletańskiej do Śródziemnego morza, oddała ster rządu w ręce takich zbirów jak Robespierre, Marat i Danton, obrzuciła błotem ołtarze, zamykając równocześnie kościoły w całej Francyi i nakoniec zaprzeczyła istnieniu samego Boga. Z tej toni i z rąk zezwierzęconych morderców wyrwał Francją geniusz Napoleona I., który najprzód jako konsul, a od roku 1804 jako cesarz Francuzów połączył cywilizacyjny dorobek minionych wieków z hasłami, które rewolucya zapożyczyła od chrześcijaństwa i głosi, jako swój twór.

Rewolucya ta ma w ludziach przewrotnych do dziś dnia zażartych zwolenników, którzy powiadają, iż wszystkie zbrodnie tej zawieruchy dziejowej nikną wobec tego, że ona przyspieszyła zniesienie poddaństwa ludu i zniesienie różnicy stanów. Na to jest jedna ta odpowiedź, że lud został uwłaszczony znacznie

przedtem w Anglii bez żadnych przewrotów. Rewolucya francuska znosząc jednym zamachem co stworzyły wieki, mając ciągle na ustach prawa człowieka, a milcząc o jego obowiązkach, zatrula cały wiek XIX. i do dziś dnia dźwigamy jej zgubne skutki, gdyż walka wszczęta przez rewolucyę dotąd rozstrzygniętą nie jest i ani jej końca ani skutku nikt w tej chwili przewidzieć nie zdoła.

Pan Kazimierz Pułaski będąc człowiekiem myślącym, brał żywy udział w rozmowach na temat poprawy stanu społecznego. Przez bawiących w Paryżu Polaków, zwłaszcza podczaszego Wielhorskiego i starostę Miączyńskiego, kolegów swoich z konfederacyi, poznał wielu wybitnych przedstawicieli świata paryskiego. Miączyński zwłaszcza żył huczno, przyjmując w swym domu członków arystokracji, wyższych wojskowych i liberałów, w tym więc gronie pan Kazimierz spotkał się z wielu poglądami misternymi bardzo, ale nietrafiającymi do jego pojęć opartych na zdrowym rozsądku, bez którego największa nawet nauka na nic się nie zda, bo człowieka zawiedzie na bezdroża i po niewczasie nabawi bolesnego rozczarowania. Pułaski gorący katolik mierzył wartość tych uczonych wywodów zasadą katechizmową, że człowiek przestawszy bać się i kochać Boga, nie zdoła bać się prawa i ukochać bliźnich.

Z francuskich domów bywał częstym gościem u pana Saint-Priest, z którego bratem poznał się w Konstantynopolu, gdzie ten ostatni pełnił obowiązki posła francuskiego przy sultańskim dworze. W towarzystwie zbierającym się u pana Sain-Priest, dojrzał

w umyśle Pułaskiego zamiar, do którego się już dawniej skłaniał, udania się do Ameryki. Tam bowiem wrzała podówczas krwawa wojna, którą nader żywo zajmowało się w całej Europie, a zwłaszcza we Francyi. Ta sympatya Francuzów dla powstańców amerykańskich była wynikiem pokrewieństwa idei wyznawanej nad Sekwanną z tymi, jakim hołdowano za oceanem, ale była ona także skutkiem od wieków zakorzenionej nienawiści Francuzów do Anglików.

Nienawiść ta spotęgowała się w ostatnich latach z powodu wojny, jaką Francya prowadziła z Anglią o kolonie amerykańskie, która to wojna zwycięska dla Anglików wydarła Francuzom kilka bardzo cennych zamorskich posiadłości.

Nim poprowadzimy Pułaskiego do Ameryki, musimy zapoznać czytelnika z przyczyną tej wojny amerykańskiej.

Ameryka poznana dopiero w r. 1492, gdy ją odkrył Kolumb, ściągала do siebie całe rzesze przybyszów z Europy, wśród których ludzie tacy jak Cortez, Pizarro Cabral, odkrywali coraz nowe pełne niewysłowionych bogactw i niewypowiedzianej piękności kraje jak: Meksyk, Peru, Brazylia. Amerykę południową z wyjątkiem Brazylii zajętej przez Portugalie, wzięli pod swoje panowanie Hiszpanie, do których też i Meksyk leżący w południowej części Ameryki północnej należał. Posiadłości te oderwały się od Hiszpanii dopiero w wieku XIX. Nowo odkryty świat stanowił ważną zdobycz dla handlu z powodu mnóstwa płodów bujnej gleby południowo-amerykańskiej. Przedewszystkiem zaś w łonie ziemi Ameryki

południowej bogate pokłady złota, były magnesem przyciągającym nieprzeliczone zastępy Hiszpanów spieszących tu przez morza w nadziei rychłego zubożenia się. Inaczej stały rzeczy w Ameryce północnej pod panowaniem Anglików zostającej. Przedsiębiorczy podróżnik Walter Ralegh, założył tu osadę, którą na cześć swej niezameżnej władczyni nazwał osadą dziewiczą. Walter był założycielem osad, odkryciami zaś nowych ziem w Ameryce północnej wsławili się naturalnie pierwsi dwaj Cabotowie, Jan Cabot i syn jego Sebastyan. Obaj ci ludzie mieszkali w Anglii w mieście Bristol, ród ich jednak pochodził z Włoch z miasta Wenecyi. Nie od rzeczy powiedzieć, że w gronie odkrywców nowych ziem, znajdujemy także imię Polaka Jana z Kolna, odkrywcy półwyspu Labradoru. Znacznie wolniej zaludniała się Ameryka południowa, niż siostra jej leżąca pod gorącym podniebieniem hojniej wyposażona bagactwami mineralnego i roślinnego królestwa. Klimat Ameryki północnej odstręczał przybyszów a obok tego brak złota, gdyż pokłady tego kruszcu w Kalifornii znacznie później odnalezionymi zostały. Bandy krajowców zwanych dzikimi Indyanami, słynne z okrucieństw względem jeńców, nie działały także zachęcająco, dopiero od założenia wspomnianej Virginii zwiększa się stale liczba mieszkańców w tych stronach, na co wpływają szczególnie religijne i polityczne walki srożące się w Anglii. W XVI. stuleciu król angielski Henryk VIII., chcąc się rozwieść z żoną swoją Katarzyną, oderwał się od Kościoła katolickiego i zmuszał szeregiem gwałtów poddanych swych do

odstępstwa. Córka jego Elżbieta panująca od 1558 do 1603, dokonała dzieła odszczepieństwa skazując mnóstwo wyznawców wiary katolickiej na śmierć i zaprowadzając nową religię zwaną anglikańską, do dziś dnia panującą w Anglii. Wyznanie to bardziej zbliżone do katolickiego, niż luteranizm, już od początku swego istnienia poczęło ulegać rozkładowi przez wyłanianie się z niego coraz nowych sekt. Jedną z najpierwszych była sekta Kwaków, założona przez niejakiego Jerzego Foka, urodzonego w r. 1624. Kwakrzy są wyznaniem chrześcijańskim, mają jednak wiele właściwości wyróżniających ich od innych chrześcijańskich wyznań i niedozwalających pogodzić artykułów tej wiary z ustrojem społecznym i przepisami praw państwowych. Nie wolno im na przykład składać przysięgi, służyć w wojsku, brać udziału w wojnie i t. d. Owi Kwakrzy wystąpili w Anglii z całą zajądłością właściwego sekciarzom fanatyzmu przeciw popieranemu przez rząd angielski anglikanizmowi. Te wybryki naraziły ich na ciężkie prześladowania dla uniknięcia których i zdobycia zupełnej swobody sumienia opuszczali ojczyznę podążając do Ameryki północnej, gdzie się osiedlili w dzisiejszym stanie Pensylwanii, tak nazwanym na cześć Wiliama Penna, przywódcy Kwaków.

Katolicy wyjęci w Anglii z pod prawa wynosili się taksamo do nowego świata, gdzie założyli swe siedziby na znacznym obszarze nazwanym Maryland t. j. kraj Maryi — Matki Boskiej.

Czem dla Kwaków był Penn, tem dla katolików lord Baltimore, człowiek nieugiętych zasad i zna-

komitego charakteru. Ów lord Baltimore był przedtem protestantem, wrócił jednak później na łono prawdziwej wiary, której odtąd poświęcił wszystkie siły swej gorącej i zacnej duszy. On wydał przepisy prawne dla powstałych gmin, bo rząd angielski zupełnie się o stosunki społeczne w tych stronach nie troszczył. Ustawy wydane przez tego znamienitego męża pięknie odbijają od fanatyzmu dysydenckiego tak srogo cisnącego katolicką ludność w Anglii. Baltimore zapewnił zupełną wolność wyznawcom innych religii, gdyby się w Marylandzie osiedlić chcieli. Piękny to objaw ducha tolerancyi, który wbrew wszystkim zarzutom nieprzyjaciół w jednym tylko panuje kościele katolickim. Cięż rzucająca działalność inkwizycji, instytucyi hiszpańskiego rządu, maleje wobec krwawych gwałtów protestantyzmu, hekatomb Cromwela w Irlandyi i lotrostw moskiewskiej schizmy dotąd prowadzącej propagandę przy pomocy knuta, Sybiru i topora. Ów Baltimore, na cześć którego założono i nazwano jedno z najbardziej kwitnących dziś miast Stanów Zjednoczonych, posłużył wydaniami przez siebie dla Marylandu prawami za wzór pod pewnym względem do ułożenia konstytucyi dla nowo powstałych Stanów Zjednoczonych po obaleniu w Ameryce północnej angielskiego panowania.

Musieliśmy nieco dłużej zastanowić się nad przeszłością Ameryki, aby czytelnik powziął wyobrażenie o przeszłości tego państwa, dziś jednego z najpotężniejszych na kuli ziemskiej.

Uważamy to za rzecz tem potrzebniejszą, że dziś wobec częstych stosunków kraju naszego z Ame-

ryką, licznem niestety wychodźstwem spowodowanych, wiadomości tego rodzaju tem żywszy muszą budzić interes.

Przystępujemy teraz do uwydatnienia przyczyn powstania amerykańskiego przeciw Anglii, w którem Tadeusz Kościuszko i Kazimierz Pułaski brali czynny udział z wielką chlubą dla siebie i polskiego imienia. W r. 1773 rząd angielski nałożył podatki na osady amerykańskie, zwłaszcza uzasadniając to prawo kosztami poniesionymi na wojnę, którą parę lat przedtem prowadzili Anglicy na wodach Ameryki o osady nowego świata z Francją. Amerykanie przyjęli to postanowienie parlamentu angielskiego z najwyższem oburzeniem dowodząc, że ponieważ wydatki związane z zarządem kraju i utrzymaniem w nim porządku i bezpieczeństwa, ponosi wyłącznie miejscowa ludność, więc do skarbu angielskiego nie ma obowiązku nie płacić, tem więcej, że król angielski podówczas Jerzy III. panujący od 1760—1820, prowadził wojnę z Francją w swoim, a nie Amerykanów interesie.

Kiedy przedstawienia ludności nie znalazły posłuchu w Londynie, wybuchło w Ameryce w r. 1775 powstanie, które zakończyło się zupełnem wybiciem się na wolność Ameryki w r. 1783. Na czele tego powstania stanął Jerzy Waszyngton, mąż słynny z nieskazitelnosci charakteru. Bardzo wielu zdolnych oficerów z Europy podążyło w powstańcze szeregi i ci właśnie Europejczycy przechyłili szalę zwycięstwa na stronę powstańców amerykańskich. Lafayette i Rachembeaux, z Polaków Tadeusz Kościuszko i nasz Pułaski, a z Niemców Kalb i Steuben. Ci to ludzie

w rzemiośle wojskowem wyrobieni, dokonali organizacyi w luźnych i niesfornych szeregach ruchawki. Waszyngton wódz naczelny był człowiekiem bez skazy, był odwagi niepospolitej, ale nie posiadał ani zdolności wodza, ani organizatora, ani też nie umiał utrzymać podwładnych w koniecznej dla wojska karności. W czasie przyjazdu Pułaskiego do Paryża znajdował się w tem mieście Benjamin Franklin, poseł od powstańczego rządu amerykańskiego do króla francuskiego Ludwika XVI. z prośbą o pomoc dla swej ojczyzny, którą rzeczywiście uzyskał i tylko dzięki tej pomocy Anglicy zostali pobici.

Ów Benjamin Franklin, syn młynarza z miasta Bostonu, z zawodu zecer, posiadał drukarnię w Filadelfii, w której drukowano dużo przystępnie napisanych książek przeznaczonych dla ludzi niższego wykształcenia.

Ale nie tu koniec znaczenia Franklina, bo to imię na wieki wsławione nieśmiertelnym wynalazkiem gromochronów czyli piorunociągów.

Z tej też przyczyny przybycie Franklina do Paryża, było jakby wjazdem tryumfalnym, w jego osobie okazywano miłość dla sprawy powstańców i składano hołd uczonemu.

Kazimierz Pułaski poznał się z Franklinem w Paryżu, a poznanie to opisuje nam w tych słowach Maciej Rogowski: «Pan de Noailles zawiózł nas 5-go czy 6 maja swoją kareta do jednej wioski pod Paryżem zwanej Passy, gdzie mieszkali agenci amerykańscy Benjamin Franklin i Silas Deane. Zatrzymaliśmy się przed małym domkiem w ogrodzie, na wzgórzu po-

nad rzeką. Deane znajdował się dnia tego w Paryżu, a Franklin wyszedł na przechadzkę, zastaliśmy więc tylko w mieszkaniu ich sekretarza pana Carmichael. Ten nam oświadczył, że Franklin za chwilę nadejdzie, bo dwie godziny już blisko jak na spacerze. Jakoż w parę minut drzwi się otwarły i wszedł zwolna, podpierając się laską starzec poważny, siwo-głowy i bardzo milej i otwartej fizjonomii. Był to Franklin sawant zawołany, który za pomocą głębokiej nauki wynalazł sposób przeciw piorunom, a teraz oto pracował nad wynalazkiem sposobu przeciw Anglikom tyranizującym jego ojczyznę. Dlatego też później widziałem onego sławnego Amerykanina z takowym podpisem: *Eripuit coclo fulmen, sceptrumque tyrannis* — to znaczy: «wydarł grom niebu a berło tyranom». Słowa trochę grzeszne, ale koncept dobry.

Franklin mówił wcale nieźle po francusku, lepiej jak jego sekretarz — dowiedziawszy się przeto co za jedni byliśmy i jakie nasze zamiary — zwyczajem swego narodu ścisnął nam ręce i bardzo nam rad był pocziwy starowina. Wypytywał się u pana de Noailles o Lafayette'a, a ten odpowiedział, że oprócz listu pisanego z hiszpańskiego portu, skąd odpłynął, żadnej o nim nie było dotąd nowiny. «Takich ludzi nam potrzeba — mówił Franklin — ludzi z gorącą duszą i kawalerskiem postanowieniem — spodziewam się, że panowie Polacy, którzy mają w świecie renomę dzielnych wojowników, będą wielką pomocą dla biednej ojczyzny mojej».

Na co Pułaski: «W narodzie naszym obrzydzenie jest do wszelakiej tyranii a pryncypalnie do cu-

dzoiemskiej, więc gdzie tylko na kuli ziemskiej biją się o wolność, t. j. jak gdyby nasza własna sprawa».

Ten respons podobał się bardzo starcowi; powiedział nam przeto, iż w pierwszych dniach czerwca wypłynie z Hawru okręt do Ameryki, wiozący nieco broni i amunicyi i kilku woluntarjuszów, i że będzie mógł nas także zabrać. Zalecił jednak sekret o tem wszystkim, dodając, że poseł angielski ma licznych szpiegów, którzy po Paryżu a szczególnie po wiosce Passy, snują się jako psy gończe, wietrząc i tropiąc zamiary przyjaciół niepodległości amerykańskiej» <sup>1)</sup>.

Dnia 29 maja odwiedził Pułaski z Rogowskim z pożegnaniem Franklina, od którego otrzymał list polecający do Waszyngtona. Dnia 30 maja z listem Franklina i z listem pana de Noailles do walczącego w Ameryce wspomnianego wyżej markiza Lafayette'a, wyjechali nasi rodacy do Hawru, gdzie wsiedli na okręt płynący do Ameryki. Okręt, który ich wioził, nazywał się «Piękna Ludwika». Pułaski, Rogowski, służący Bohdanek i młody Polak, Karol Pluta, trzymali się razem wśród licznych Francuzów śpieszących także na pole walki. Wspólność celu i zapatrywań, a nadto długo trwająca podróż sprawiła, że doraźnie zrobiona znajomość przybrała niebawem charakter serdeczniejszych stosunków. Treścią rozmów były zazwyczaj wypadki wojenne za oceanem i wspomnienia ojczyzny, za którą tak Francuzi jak i nasi czterej Polacy wzdychali, pocieszając się nadzieją, że ją przecież ujrzą jeszcze kiedyś. Nie brakło je-

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Macieja Rogowskiego str. 45.

dnak i rozrywki, którą sprawiał opanowanym nie-  
rzadko przez posępne myśli wędrowcom Erancuz na-  
zwiskiem Girod. Był to jakiś awanturnik, paliwoda  
i samochwalca na wielki kamień, rozprawiający cią-  
gle o swojej odwadze i swoich przewagach orężnych,  
o czem takie duby smalone prawil, że się wszyscy  
słuchacze do rozpuku śmiali, na czem on się jednak  
nie poznał, biorąc to za dobrą monetę i mniemając,  
że się tak weselą z powodu porażek, jakie on uro-  
jonym przeciwnikom zadawał.

Wkrótce jednak pokazało się, że ta śmiałość  
była tylko w słowach, skoro bowiem pokrył się wi-  
dnokrąg grubemi chmurami, a na morzu rozszalała  
się groźna burza, ów bohater stracił zupełnie fanta-  
zyę, zbladł jak chusta, począł drzeć na całym cie-  
le jak liść osikowy i bełkotając, pytał sąsiadów, rychłoli  
to straszne zjawisko ustanie. Wyglądał wtedy tak  
pocieszenie, że mimo grozy położenia, jakie stwarza  
burza morska, wywołująca obawę i w najmężniejszej  
piersi, zapomniano o strachu i śmiano się z obawy  
tego mniemanego rycerza.

Po uciszeniu się wichrów i opadnięciu bałwanów,  
przyszedł do siebie pan Girod i usiłował ratować się  
tłumaczeniem, że on tylko na wodzie lęku doznaje.  
Ale się nie wykręcił: do końca podróży wspomina-  
no mu, jak to w czasie huraganu cienko śpiewał. Parę  
razy jeszcze «Piękna Ludwika» walczyć musiała  
z burzami, aż wreszcie rozległ się głos majtka sto-  
jącego na straży, zwiastujący ukazanie się lądu. Ra-  
dość zapanowała w sercach załogi znużonej długą  
podróżą. Zanim jednak utęskniona załoga wyszła na

ład, doznać jeszcze miała raz wszelkich okropności burzy morskiej. Ta ostatnia burza, jakby na potwierdzenie przysłowia, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, uratowała żeglarzy od grożącej im niechybnie niewoli angielskiej. Wobec tego, że ciągle nowi ochotnicy przybywali do Ameryki dla zasilenia walczących szeregów, okręty angielskie strzegły bardzo pilnie wybrzeży, biorąc do niewoli wszystkich podejrzanych. Owa jednak burza, srożąca się z siłą niezwykłą, zatrzymała na uwiezi czuwające statki i nasi rodacy bezpiecznie wylądowali w Ameryce. Działo się to dnia 20 sierpnia 1777 r. Nie wszyscy jednak przebyli podróż szczęśliwie, gdyż ulubieniec Pułaskiego, Bohdanek, padł ofiarą w czasie drogi. Rzecz tak się miała. Okręt zatrzymał się w jednym z portów wyspy San Domingo. Tu ów Bohdanek kąpiąc się, pożarty został przez rekina. Pułaski bardzo się tem zmartwił, gdyż do wiernego sługi był jak do krewnego przywiązany i z głębokim żalem rzekł do pana Macieja: «Zły to znak panie bracie! widać, że i nad nami wisi jakieś nieszczęście».

Parę mil od wioski, w której się Pułaski zatrzymał, znajdował się obóz powstańców w miejscowości Wilmington. W miejscowości tej stało do 10.000 wojska w szalaszach wyplatanych z chróstu, ustawionych w jednej linii tak, że obóz ten zdala robił wrażenie dużej wsi. Wał tylko wznoszący się nad głębokim rowem nadawał mu cechę doraźnie urządzonej warowni i przypominał, że wojna wisi w powietrzu. Powstańcy amerykańscy nie wywarli korzystnego wrażenia na naszych wiarusach. Ludzie ci jak zwy-

kle w ruchawce nie mieli umundurowania, jedni przybrani byli w szare kurty, drudzy w zwykłe długie opończe, nie wszyscy też mieli buty, a co do uzbrojenia nie lepiej rzeczy stały. Pulaski rzekł do zgorzzonego tem Macieja Rogowskiego te słowa: «Nie mają butów, ale mają serca — a z tem panie bracie można iść daleko, choć i na bosaka». Rogowski zmienił później zdanie, gdy zobaczył tych ludzi w ogniu, gdzie się odważnie potykali.

Przybywszy do obozu, skierowali swe kroki nasi ziomkowie do markiza de Lafayette, do którego mieli listy polecające od pana de Noailles. Serdecznie tu byli przyjęci, a na opowiadaniu nowin z Francyi zaciekawionemu bardzo gospodarzowi zeszła im dobra chwila czasu. Ztąd w towarzystwie Lafayetta udali się do namiotu naczelnego wodza, który, jak wiemy, był Jerzy Waszyngton. Z gorączkową niecierpliwością spieszyli do jego kwatery, aby poznać męża, którego imię było podówczas na ustach całego cywilizowanego świata.

Wrażenia wywołane w chwili poznania się tak kreśli pan Maciej: «Przyglądałem się z ciekawością i uwielbieniem onemu człowiekowi, o którym cała Europa od trzech lat głośno gadała, a którego podkomendni i cały naród amerykański tak kochali i czcili. Mógł mieć wówczas Washington około 45 lat, wysoki, barczysty, wspaniałej postawy i przyjemnej fizyonomii. Ubranie miał schludne, ale nie bogate, bez żadnych świecideł i haftów. Widać, że agenci amerykańscy w Paryżu nie szczędzili nam pochwał, bo przerzuciwszy okiem ich pisanie, powitał nas

z konsyderacją — zapytując: czy chcemy służyć w piechocie czy w kawaleryi? Pułaski odpowiedział, że wzrósł na koniu, że Polacy do konnych egzercycyi mają pociąg wrodzony i upodobanie — że wolałby przeto być przeznaczonym do jazdy. Właśnie kawalerya kolonistów była bez dowódcy, gdyż generał Reed nie chciał przyjąć onego obowiązku. A zatem Washington powiedział, że natychmiast uda się do Kongresu z propozycją dania tej szarży Pułaskiemu.

Co dzień przyjeżdżało z Europy mnóstwo awanturników, i wszyscy chcieli mieć wysokie stopnie, dlatego też nie przyjmowano już lada kogo — a że Washington traktował nas z taką dystynkcyą, narobiło to zazdrości niemało między Francuzami, których odesłano z kwitkiem. Najbardziej zaś zły ów Girod, któremu dano odprawę, lecz że krzyczał bardzo i lamentował, więc dostał trochę pieniędzy na drogę. Franklin i Deane widząc nas w Paryżu, brat za brat z dukami, markizami i inną noblesą, przyczepili do imion naszych tytuły comtów, t. j. grafów, przeto nie nazywano nas inaczej, jeno comt Pułaski i comt Rogowski. Prawda, że każdy szlachcic polski rodzi się kandydatem do korony, a więc znaczy więcej niż najpryncypalniejszy familiant cudzoziemski — pozwoliliśmy przeto się tytułować, kiedy się poznano na naszej kondycyi. — Imię Pułaskiego wymawiali Amerykanie dosyć dobrze, ale mojego ani weź, przekręcali zawsze — nominując mnie raz Kowski, drugi raz Rolgoski a nigdy Rogowski<sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Macieja Rogowskiego str. 50.

W dziesięć dni po owej wizycie jeszcze przed przyjściem odpowiedzi kongresu wyruszyli nasi Polacy z wojskiem z Wilmingtonu w okolice miasta Filadelfii, któremu zagrażali Anglicy.

Zajęcie tego grodu przez Anglików miałoby straszne następstwa dla powstania, gdyż tam właśnie znajdował się rząd amerykański. Pospieszenie więc, co sił starczyło ruszyły zastępy Waszyngtona na zagrożone miejsce. Nasi przybysze, nie byli jeszcze przyjęci urzędownie przez kongres do walczących szeregów, trawieni jednak gorączką jak najprędszego zmierzenia się w boju z Anglikami za pozwoleniem Waszyngtona ruszyli z wojskiem jako ochotnicy. Dnia 10 września 1777 r., bili się pod Bradiviną. Powstańcy amerykańscy zbliżając się do Bradivin, pozatykali sobie zielone gałązki za czapki i z pieśnią na ustach, a z odwagą w sercu rzucili się z bagnietem na nieprzyjaciela. Zapał ich jednak rozbił się o wyćwiczenie i wyrobienie stojących jak mur pułków angielskich. Potyczka ta skończyła się zwycięstwem Anglików, aczkolwiek nie miało to większego wpływu na stanowisko obu stron wojujących. Nasz pan Maciej Rogowski odebrał tutaj rzeczywiście krwawy chrzest na ziemi nowego świata, gdyż jak powiada: »W tej potyczce ja oberwałem po łbie od czerwonego dragona, którego jednak na tamten świat gracko wyprawiłem. — Rana moja nie była szkodliwa, bo rąbiąc przez kapelusz zdarł mi tylko kawałek skóry z włosami. Ale biedna głowa moja, od czasu jak ją w bitwie pod Łomżą kozak napoczął piką, w każdej prawie okazyi dostawa jakiegoś guza. W całym bowiem

życiu mojem w żadną inną część ciała skaleczony nie byłem».

Z pod Bradiviny cofnął się Waszyngton zmierzając bocznemi drogami na obronę Filadelfii. Podczas marszu odebrał akta od kongresu, w których była także nominacya Kazimierza Pułaskiego na generała a Macieja Rogowskiego na majora. Pochód ku Filadelfii był bardzo trudnym, gdyż na różnych punktach znajdowały się oddziały nieprzyjacielskie usiłując otoczyć pulki Waszyngtona. Trudną była bardzo przeprawa przez Shuylkill, szczęściem nieprzyjaciel nie nadszedł, aż dopiero po przeprawieniu wyłoniły się z nienacka kolumny angielskie. Spotkanie jednak nie miało gorszych następstw, bo z powodu nawalnego deszczu lejącego jak z cebra przez 48 godzin, zamokły prochy do tego stopnia, że powstała z nich, jak mówi pan Maciej »czarna pomada«. Skończyło się więc na ręcznej utarczce i rejteradzie powstańców.

Wkrótce później potem, kiedy żołnierzy amerykańskich poczęła ożywiać nadzieja, że niebawem staną u zamierzonego kresu, napotkali 4 października pod Germantownem oddział Anglików wynoszący kilka tysięcy i okopany w dość warownym z natury obozie. Pomimo silnej pozycyi nieprzyjacielskiej i wojkowego wyrobienia przeciwników, Waszyngton postanowił przyjąć bitwę atakując obóz. Najprzód generał amerykański Conwaj komenderujący prawem skrzydłem wysłał oddział celnych strzelców do szturm. Pierwsza chwila wróżyła atakującym pomyślny wynik boju; okopy były niskie, już strzelcy wdziedrali

się na nie. Podczas tego pan Kazimierz Pulaski na czele oddziału dragonów uderza na słabiznę w obwarowaniu, wpada niby szalony wichur w sam środek obozu i rąbiąc na prawo i lewo, że aż całą klingę pałasza miał od krwi czerwona, cały obóz przeleciał. W tej jednak chwili ukazuje się z dala jakiś czarny punkt niby mała czarna chmurka na błękitie pogodnego nieba; To Cornvallis jeneral angielski spieszący z pomocą. Niebawem rozwijają się jego kolumny, przełamują lewe skrzydło powstańcze i biorą we dwa ognie nacierających. O dalszej walce nie było mowy wobec przeważających sił, musiałaby ona doprowadzić Waszyngtona do zupełnej klęski, cofnął się więc poniosłszy wielkie straty.

Ta bitwa pod Germantownem miała dla Amerykanów bardzo duże znaczenie, w znaczeniu ujemnem. Wywarła bowiem przygnębiający wpływ na szeregi powstańcze. Kongres wyniósł się z Filadelfii, Anglicy zajęli miasto, a wojsko amerykańskie stanęło obozem po długich i nad wyraz mozolnych obrotach wśród lasów nad rzeką Shuylhill.

Kto wie, czy te wypadki nie byłyby się stały grobem całego ruchu, gdyby nie niespodziewany uśmiech fortuny w bitwie pod Sarratogą. Tutaj to generał amerykański Gates pobił na głowę ośmiotysięczny korpus angielski dowodzony przez generała Burgoine. Bitwa ta stoczona została dnia 17 października 1777 r. Rodacy nasi nie brali w niej udziału, gdyż Pulaski ze swoim oddziałem dragonów wysłany został do miasteczka Trenton, gdzie stał kwaterą, aż do wiosny r. 1778. Owi dragoni, którymi dowodził

Pułaski składali się z czterystu ludzi bez żadnej wprawy wojskowej, a co gorsza bez żadnej subordynacyi. Położenie Pułaskiego i Rogowskiego było dość trudne, bo nie tylko z tej zbieraniny trzeba było zrobić żołnierzy, ale co gorsza z podkomendnych oficerów jeden tylko Rogowski był wojskowym. Reszta składała się z awanturników i przybłędów z całego świata, których oburzał zaprowadzony przez Pułaskiego rygor i dlatego sami przeciw niemu żołnierzy buntowali.

Był tam jakiś pułkownik Molens i kapitan Riganti rodem Włoch, ci byli największymi przeciwnikami Pułaskiego. Nie dosyć tego, trzeba było walczyć z ogromnym niedostatkiem, żold nie zawsze dochodził, taksamo rzecz się miała z dowozem żywności. Wszystko to zaś działo się wśród bardzo srogiej zimy i ogromnej drożyzny. Od czasu do czasu przychodziły pieniądze, ale w monecie papierowej, bitej pod znakami kongresu, której wielu kupców przyjmować nie chciało. Pułaski musiał niejednokrotnie ze swoich funduszków dokładać, a ponieważ te były zbyt szczupłe, więc się niebawem wyczerpały i już w połowie grudnia doszło do tego, że sam generał Pułaski żył czasami po kilka dni tylko o chlebie i wodzie.

Bolał nad tem mocno przywiązany doń całą duszą pan Maciej. Uczuciowy i miłujący wszystkie narodowe zwyczaje pan Maciej postanowił łącznie z przybyłym do Trentowu Polakiem, Karolem Plutą, zrobić panu Kazimierzowi niespodziankę urządzając obyczajem polskim w wigilią Bożego Narodzenia tradycyjną wieczerzę.

Łatwo to było pomyśleć, ale wykonać niesłychanie trudno, bo i Pluta i pan Maciej byli w tej chwili goli jak tureccy święci. Ale jak mówi przysłowie, dla chcącego nie ma nic trudnego, więc też im udało się w czyn zamienić zrodzoną z pięknego uczucia myśl, czem zgotowali prawdziwą biesiadę ducha dla ukochanego generała. Nie spodziewali się, że jakby dla zadośćuczynienia staremu przesądnemu wprowadzie, ale bądź co bądź szanowanemu zwyczajowi o parzystości uczestników wigilii przybędzie na czwartego człowiek, który w lat parę potem stał się chlubą, nadzieją i drogoskazem narodu polskiego.

Po usilnych poszukiwaniach i głębokich namysłach znalazły się jakieś wartościowe przedmioty, jakiś zegarek, który Karol Pluta zachował na czarną godzinę, jakiś pierścień, z którym pan Maciej rozstać się nie chciał, te rzeczy sprzedano i nadspodziewanie otrzymano za nie ku wielkiej radości pana Macieja i Karola dość przyzwoitą sumę. Wystarczała ona nie tylko na urządzenie porządnej wieczerzy, ale jeszcze musiał z niej pozostać jakiś zapas na spodziewane w przyszłości dni głodu. Znalazłszy pieniądze naradzali się nasi wiarusy, wszystko w największej tajemnicy przed panem Kazimierzem, nad szczegółami wigilii. Powiedzieli sobie, że ma być taka, jaka bywa w Polsce. Żadnej z tradycyjnych potraw brakować nie powinno, w tem tylko sęk, skąd wezmą opłatków, bo w okolicy nie słyszeli nigdzie o kościele katolickim. To zasepiało ich bardzo, wszak wigilia, mówili sobie, straci cały urok bez życzeń przy rozłamaniu opłatka, który jest figurą chleba żywota.

Druga trudność, aczkolwiek mniejsza, była w wynalezieniu człowieka, któryby umiał polskie potrawy zgotować. Temu jednak z łatwością zaradzono. Mieszkał w Trenton jakiś stary murzyn, kucharz z zawodu, znany z wielkich zdolności w swoim fachu, ale także z wielkiego zamiłowania w gorących napitkach. Najęto go więc, oświadczając stanowczo, że obyczajem wojskowym spotka się z bizunem, jeżeliby się upił i spartaczył więc zeznał. Przyszedł najsoleniej, że prócz Kraszewskiego niczem innem w tym dniu pragnienia gasić nie będzie, tembardziej że mu obiecano dobrą zapłatę i jeszcze w dodatku butelkę rumu, dla którego ów kucharz miał nadzwyczajną słabość. Niebawem i druga troska usuniętą została, gdy się dowiedzieli, że o parę mil jest kaplica a przy niej ksiądz katolicki, Francuz rodem. Uciecha więc nie mała, bo opłatków nie zabraknie.

Znakomity pisarz nasz Kraszewski wypadki te uwiecznił w pięknej trzechtomowej powieści pod tytułem «Tulacze»; w niej skreślił obraz poświęceń i cierpień Polaków w dobie porozbiorowej. Opis wigilii pozwalamy sobie przytoczyć z Kraszewskiego, który nie tylko wysnuty jest z fantazyi, lecz oparty na jakimś rękopisie zmarłego żołnierza polskiego: «Karol Pluta siadł na koń, udając się do księdza po opłatki do osady Lambertów. Na drodze zjechał się z obcym widocznie podróżnym. Ów podróżny był jeszcze człowiekiem młodym o rysach miłych, łagodnych, ożywionych i mających w sobie coś tak polskiego, że Karol machinalnie konia powstrzymał. Podróżny wpatrywał się też w Karola i oba mieli

pytanie na ustach. Wreszcie podróżny zapytał po angielsku: Czy znajdę w Trenton brygadiera Pułaskiego? Karol, mówiący nie źle po angielsku, poznał po akcencie cudzoziemca. To go utwierdziło w przekonaniu, że Polakiem być musiał. Serce mu uderzyło do tego człowieka i sam nie wiedział, jak mu się wyrwało słowo polskie. A Polak! Brat! zawołał podróżny ochoczo. Oba nie pytając więcej, skoczyli z koni, aby się uściskać jak bracia rodzeni po długim rozstaniu. Jadę do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem, nazywam się Tadeusz Kościuszko.

Jak owa wigilia stała się podwójnie dniem uroczystym. Pułaski był szczęśliwy z przybycia ziomka, którego nie wiedział jak ugaszczać i przyjmować, ale przy niedostatku żołnierskim, jak tu było okazać tradycyjną serdeczność. Zasepił się więc biedny Pułaski. Całą resztę tego dnia, to jest wigilię wigilii spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju.

Słuchaj mój Rogowski, — rzekł pan Kazimierz wieczorem, święty obyczaj gościa przyjąć. Musimy wystąpić. Ale jak? Sprzedaj co chcesz, zastaw, pożycz, a trzeba, żeby widział, żeśmy mu radzi. Rogowski tylko co się z projektowaną wigilią nie wygadał, ale zakąsił się w język.

Panie generale — rzekł — ja z Karolem obmyśle środki, tylko co się tyczy jutra, to post i wigilia. Wigilia! A prawda, rzekł smutnie Pułaski, więc jutro to się jakoś przeołacze, a na Boże Narodzenie ja za luszytyk ręczę. Zastawim się, a postawim po szlachecku. Cała noc zeszła na gawędzie. Gdy naza jutrz gwiazda zabłysła na niebie, pan Maciej Rogow-

ski i Karol wprowadzili Pułaskiego i Kościuszkę do odświętnie przybranej komnaty. Radośnie się zdziwili widokiem nakrytego stołu i ścian ozdobionych zieleńią. Drżącą ręką chwycił Pułaski opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce. Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedy z braćmi, przypomnij mnie i Trenton, rzekł cicho. Milczący, poważni, jak kapłani, uroczyście jak w świątyni z myślą do Boga wzniesioną do ojczyzny łamali się tulacze chlebem życia na ziemi wygnania, a myśl ich biegła tam, gdzie do nich były też serca stęsknione. Kościuszko otarł łzę, przypomniła mu się Polska. Dawno — rzekł — dawno nie kosztowałem takiej rozkoszy, to godło Chrystusa spoiło nas jak rodzinę. Bo też to dzień Narodzenia Tego — rzekł Pułaski, który skruszył kajdany niewoli świata. Dodać musimy, że w kraju nie znał Kościuszko Pułaskiego, w Trenton było pierwsze spotkanie się tych dwóch pierwszych ludzi i zawiązanie serdecznej przyjaźni.

Ponieważ podkomendnych swoich nie mógł Pułaski wdrożyć do karności, więc prosił o dymisyę, do czego skłoniła go następująca okoliczność. Jeden z jego podwładnych, oficer dragonów, nazwiskiem Scudder, wzięwszy urlop na 15 dni dla odwiedzenia rodziny, bawił u niej dwa miesiące. Pułaski dla przykładu osadził go w areszcie. Tymczasem pułkownik Mollons podkomendny Pułaskiego, wbrew wszelkim przepisom dyscypliny wojskowej, kazał uwiecznionego wypuścić na wolność. Pułaski, kazał Polensa uwięzić, który widząc, że nie żarty, drapnął z miasta. Obrażony i oburzony tem pan Kazimierz posłał ra-

port do generała Waynen, domagając się oddania pod sąd wojenny zuchwałego pułkownika. W każdej regularnej armii podczas wojny taki krok pociągnąłby za sobą rozstrzelanie, albo w najlepszym razie pozbawienie stopnia oficerskiego. Władze jednak powstańcze z cywilnych złożone, i nie pojmujące tego, że karność jest podstawą wojska, uniewinniły Molensa. To było powodem, że Pułaski podał się do dymisji, z którą wysłał do Waszyngtona Macieja Rogowskiego. Waszyngton odczytawszy listy i wypytawszy się o szczegóły, uznał Pułaskiego krzywdę, ale powiedział, że podług praw krajowych drugiego sądu zwolnywać nie może. Dodał tylko, że bardzo mu smutno, że tak dostojny wojownik, który dał już niepoślednie dowody swego męstwa, chce armię w tak krytycznej chwili opuszczać i że jeżeli zrzeka się dowództwa kawaleryi, możeby przyjął jaką inną komendę? Ja, że nie miałem na żadne umowy plenipotencji, odpowiedziałem, że nie wiem, wziąłem tylko respons od niego i odjechałem do Trenton. Pułaski szanował wielce Waszyngtona i rad byłby go ukontentować, byle tylko, jak to u nas mówią, i wilk syty i koza cała, to jest, by nie porzucać służby i jakoś honor salwować. Otóż deliberując ze mną utworzył pan Kazimierz projekt formowania oddzielnego korpusiku złożonego ze stu ulanów i dwustu piechoty, tak, aby nie być zależnym od nikogo i kozacką wojnę prowadzić» <sup>1)</sup>.

Plan Pułaskiego został przyjęty i przez Wa-

---

<sup>1)</sup> Pamiętniki Macieja Rogowskiego, str. 55.

szynghona i przez kongres rezydujący po utracie Filadelfii w mieście Yorktown. Pulaski z nieodstępnym Rogowskim stanął kwaterą w miejscowości Fischkil i tu rozpoczął z całą energią zaciągać ochotników. Przybywało pod jego sztandar wielu Niemców przeważnie z Hessyi pochodzących. Anglia bowiem, w której do dziś dnia niema przymusowej służby wojskowej i gdzie żołnierzy najmują jak podczas wojny amerykańskiej, zaciągała do swoich szeregów Niemców, niektórzy zaś książęta niemieccy, zwłaszcza książę Hesski sprzedawał Anglikom swych poddanych, których potajemnie naganiaczom łowić kazał. Oblawy te czynił ów książę tak bezwzględnie, że nawet jeden zdolny poeta niemiecki nazwiskiem Saume porwany i sprzedany Anglikom został.

Ładnie to świadczy o przeszłości Niemców, poczytujących się niesłusznie za pierwszy naród świata. Dużo tych Hessów zbiegało teraz do szeregów powstańczych i z nich zadowolony był Pulaski, bo to były, jak mówi Rogowski, «chłopy tęgie, nie bardzo ruchawe, ale przyuczeni do subordynacyi w wojsku regularnem i do manewrów wprawni, wszystko więc szło jak po maśle». W tym też czasie poszła w górę sprawa powstańców, albowiem w lutym r. 1778 Francya wypowiedziała Anglii wojnę.

Korpus angielski, zajmujący dotąd Filadelfię zagrożony wylądowaniem Francuzów, wymaszerował do New-Yorku. Pan Kazimierz zaś otrzymał polecenie wyruszenia przeciw bandom złożonym z dzikich amerykańskich Indyan, którymi dowodzili oficerowie angielscy. W nader dosadny sposób opowiada pan

Maciej o postępowaniu tych Indyan, więc też odnośny ustęp przytaczamy: Legia nasza odkomenderowaną została na ścigania licznych band, prowadzonych przez oficerów angielskich i złożonych z dzikich Indyanów i z torysów (nazywano torystami kolonistów, którzy byli partyzantami króla angielskiego). — Bandy te, jak one niegdyś nasze hajdamackie na Ukrainie, dopuszczały się wielkich zbrodni, wiolencyj i tym podobnych szkarad, paląc, rabując, mordując bezbronnych ludzi i nie przepuszczając ani dziecięciu ani szczenięciu. — Dzicy Indyanie (o których jest gadka, że ludzkie mięso pożerają) umalowani i przystrojeni jak maski mięsopustne, a przytem okrutni nad miarę w pastwieniu się nad biednymi populacyami, złączeni z onem tałatajstwem amerykańskim, tworzyli razem godną kompanię. — Bili się ci hultaje zacięcie i bronili do upadłego, bo wiedzieli, że gdy popadną nam w ręce, przyjdzie im na cienki koniec. — Tak też bywało: bijącym się bowiem nie dawano pardonu, a poddających się wieszano na najpierwszej gałęzi; gałęzi zaś nie brak w Ameryce, bo kraj leśnisty.

W ogólności wojnę tę całą prowadzono zacięcie ze strony obojej — klemencyi jedni drugim nie pokazując; ale że ci i tamci byli łutrowie — więc nie dziwota! W legii naszej znajdowało się niewielu Amerykanów, a wszyscy oficerowie i Polacy i Francuzi — katolicy, (ci ostatni prawda niezbyt nabożni, ale przecież katolicy), to też okrutnego traktowania z poddającymi się nie było wyjąwszy hersztów, torysów, którzy musieli dyndać (bo taki był ordynans), innym niewolni-

kom krzywdy nie czyniono. W owym czasie przykomenderował Waszyngton do naszych ulanów nowo przybyłego Polaka z Europy, niejakiego Jerzmanowskiego młodego i odważnego wyrostka, który nam przywiózł świeże nowiny z Polski i pilnie odprawował swoje obowiązki na posterunkach i podjazdach, to też pan Pułaski go polubił i przepowiedział, że wyjdzie na dobrego wojownika\*.

Anglicy, cofnąwszy się do New-Yorku, przenieśli teatr wojny na południe. Dzisiejsze stany Karolina i Georgia stały się teraz teatrem walki prowadzonej przez Anglików z wielką zaciętością, którzy paląc wsie i miasta i nękając osadników, zamieniali te prowincye w pustynie, jakby w przeczuciu, że je niebawem będą musieli opuścić na zawsze. Waszyngton wysłał na południe generała Lincolna, pod którego komendą ruszył także ze swym oddziałem Pułaski. Punkt zborny, w którym nasi mieli się spotkać z Lincolnem, był wyznaczony nad rzeką Savannah. Nim się złączył Pułaski z Lincolnem, dokonał ważnego dzieła ocalenia od Anglików miasta Charlestown stolicy Karoliny. Ludność tego grodu po odegnaniu nieprzyjaciela przez naszych podejmowała wśród wylewów nadzwyczajnej wdzięczności swego obrońcę i jego oddział.

Nie wiele nam już pozostaje do powiedzenia o bojach naszego bohatera, gdyż zbliżał się dzień, w którym bohaterską śmiercią zamknął tak bogaty w niepospolite czyny swój żywot. Marsz do Savannah był niesłychanie utrudzający głównie skutkiem nadzwyczajnych upałów panujących w tym czasie.

Pomimo tego, że w wojsku łatwo było spostrzedz wielkie przygnębienie wywołane różnymi znojami i brakami, Pułaski wypróbowany w twardej szkole życia i przywykły do ciężkiej żołnierskiej doli wyróżniał się od ogółu towarzyszy wybornym humorem i nadzwyczajną pogodą umysłu. Nie przewidując rychłego kresu życia układał rozmaite plany na przyszłość spoglądając ze spokojem w pogodną, jak sądził przyszłość.

Nieraz tak się w życiu dzieje, że gdy najmniej się tego spodziewamy, nieubłagana dłoń śmierci przecina wątek naszej ziemskiej pielgrzymki.

Miasto Savannach leży blisko ujścia bardzo szerokiej rzeki noszącej to samo, co i gród ten, miano. Z natury swego położenia miasto Savannach nie było warowne, zabezpieczała je jednak z boku mocna forteca opatrzona przekopami i najeżona gęsto ustawionymi wielkiego kalibru działami. Fortecę tę uzupełniały i wzmacniały z drugiej strony okopy usypane przez Anglików. Anglikami broniącymi miasta dowodził generał Prevost, człowiek znany równie z odwagi jak i ze zdolności. Gdy powstańcze szeregi wzmocnione swymi sprzymierzeńcami, Francuzami, stanęły pod twierdzą, dowódcy ich wysłali parlamentarza do Prevosta z radą, aby się poddał, gdyż większej sile nieprzyjacielskiej nie podoła i sprawi tylko daremny rozlew krwi, który właśnie jego wojsko daleko bardziej niż oblegający odczuje. Wódz angielski spodziewając się, iż niebawem przyjdzie mu na odsiecz generał Maitland z silnym oddziałem wojska, stanowczej odpowiedzi nie dał, zażądał tylko 24 godzin

czasu do namysłu dla naradzenia się, jak mówił, nad warunkami poddania ze swoim sztabem. Gdy w ciągu tego czasu spodziewane posiłki angielskie przybyły, rozpoczęła się na całej linii gorąca walka. Obecni w szeregach powstańczych inżynierowie kierowali sypaniem okopów, z drugiej znów strony okręty francuskie zbliżały się coraz bardziej ku miastu, zasypując je gradem kul, które obok ofiar w ludziach wznicały liczne pożary budynków. Anglicy czynili częste wycieczki dla przeszkadzania w oblężniczych robotach, z których jedna kosztowała powstańców bardzo dużo, bo nieprzyjaciel napadłszy z nienacka położył trupem bardzo dużo.

Oblężenie to rozpoczęło się w końcu września. Pułaski, wesóły dotąd, bardziej niż kiedykolwiek daleki od wszelkich smutnych przewidywań i złowrogich przeczuć, nagle 1 października zatrwożył Rogowskiego nadzwyczajnym smutkiem rozlanym w jego obliczu. Gdy zasmucony tem Rogowski zapytał go o przyczynę tak szybkiej i zdaniem jego nieuzasadnionej zmiany, usłyszał w odpowiedzi przejmujące go dreszczem trwogi słowa:

— Już ja pono panie Macieju — mówił Pułaski — ojczystych pól i lasów nie ujrzę, już więcej polskiem powietrzem nie odetchnę, przyjdzie zdala od swoich w obcej ziemi grzeszne ciało złożyć, a co najgorsza i co mnie najbardziej trapi, bez Sakramentów, bez obmycia grzesznej duszy mojej w zdroju niebiańskich łask, boć gdzież ja tu księdza katolickiego znajdę?

Rogowski pocieszał drogiego przyjaciela, jak mógł, ale pan Kazimierz odparł z głębokiem przeko-

naniem, że wierzy w swój zgon rychły na podstawie wypadku, który uważa za jakieś ostrzeżenie. A gdy jął pan Maciej wybadywać, jaką to miał niepomysłną wróżbę, opowiedział mu Pułaski, iż zgubił szkaplerze, do których wielką przywiązywał wagę, gdyż były poświęcone przez samego nuncjusza papieskiego i pocierane o cudowny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Pułaski był sodalisem jak wszyscy konfederaci barscy ożywieni duchem gorącej pobożności, i nosił zawsze szkaplerz jako tarczę niebieską. Gdy Rogowski chciał mu pożyczyć swego szkaplerza odparł: nie chcę cię, panie bracie, pozbawiać tego puklerza «jeśli taka wola Pana Boga, że tu przyjdzie nałożyć głowę, jakże ja grzeszny człowiek mam się temu wyrokowi opierać, niech się dzieje wola Boga».

W cztery dni po tej rozmowie rozpoczęło się z obu stron gwałtowne bombardowanie. Wśród straszliwej kanonady, która robiła wrażenie takie, jakby niebo wyrzucało tysiące piorunów a ziemia pękała w głębokościach swoich, pewien major francuski nazwiskiem Lentfant zdobył się na krok, który mu zjednał w oczach swoich i w oczach wrogów sławę nieznaną trwogi bohatera. Oto wziąwszy pięciu żołnierzy konnych, wśród istnego deszczu kul dotarł nietknięty pod nieprzyjacielskie fortyfikacye i palisady podpalił. Gdyby się był wszczął pożar, miasto byłoby tego dnia zdobyte, mokre jednak drzewo zająć się nie chciało.

Dziewiątego października Pułaski wpadł na pomysł, który zaraz w czyn wprowadził, a który swoją śmiałością, niesłychanym hazardem i pogardą wszel-

kich niebezpieczeństw, przewyższył jeszcze przedsięwzięcie francuskiego majora. Pomiedzy okopami byla w pewnem miejscu luka, tamtey można się było dostać do miasta, ale wobec ciągłego ognia licznych kolumn nieprzyjacielskich rażących gęstymi strzałami ze wszystkich stron, groziło to niechybną śmiercią. Gdyby jednak udało się choćby szczupłemu oddziałowi wdrzeć do środka miasta, to zwycięstwo było pewnem. Pułaski powziął ten plan, a gdy go przedstawił komenderującemu generałowi Lincolnowi, ten zdumiał się wprawdzie pełną zuchwałości odwagą, ale znając Pułaskiego jako wojownika, dla którego niemożliwość nie istnieje, zgodził się na jego pomysł. W tej chwili wybiera pan Kazimierz z pośród jazdy powstańczej 200 co najtęższych zuchów i przyzwawszy Boga na pomoc, rusza na ich czele galopem ku miastu. Na całej linii powstańczej zaparto dech w piersiach, wyczekując wyniku tego nadludzkiego przedsięwzięcia. Z równym niepokojem śledzą losy nieustraszonej drużyny marynarze z okrętów francuskich. Tętent kopyt końskich, niezmierna, podniecona nimi kurzawa, rozświetlana tylko kiedy niekiedy ognistemi smugami dobywającemi się z paszczy dział, oto wrażenia, których doznawali owi liczni widzowie. Przez pierwsze dwie minuty, jak mówi Rogowski, który tam był, szło wszystko bardzo dobrze, dopiero gdy oddział się dostał pomiędzy dwie baterie straszliwy ogień krzyżowy «zmieszał» hufiec jak puszczone woda z wysoka, gdy na zamkniętą służę natrafi».

W tej to chwili ów wojownik przesławny, ów niezapomniany obrońca Berdyczowa i Częstochowy,

wielki przez wiarę katolicką, miłość Polski, czystość charakteru i zacność życia, ów nieśmiertelny w naszych dziejach Kazimierz Pułaski rozstał się z tym światem, zanosząc przed trybunał Najwyższego Sędziego swe cierpienia, swe blizny i swe prośby o łaskę dla nieszczęśliwej ojczyzny.

Śmierć Kazimierza Pułaskiego w ten sposób opisuje Maciej Rogowski: «Patrzę, o chwilo bolesna i niezapomniana nigdy! Pułaski leży na ziemi; poskoczę co żywo i zsiadam z konia, myśląc, że nieszkodliwie ranny — aż tu wielkie nieszczęście! Kula armatnia urwała mu nogę, a z piersi krew bucha także, śnać od innego strzału. Gdym przyklęknął i zaczął go podnosić, wymawiał umierającym głosem: «Jezus, Marya, Józef», więcej nic nie słyszałem ani widziałem, bo w tym samym momencie, karabinowa kula śliznęła mi się po czaszce, krew mi oczy zalalała i omdlałem zupełnie. Poczciwi żołnierze nasi rejterując ku swoim, zachęceni przez Jerzmanowskiego, unieśli mimo rzesistego ognia Pułaskiego, mnie i innych rannych. Pod wieczór, gdy opatrzony przez felczera, przyszedłem do przytomności, Jerzmanowski powiedział mi, że pan Kazimierz żył jeszcze blisko godziny, ale gadał słowa tylko przerywane, jako chory w malignie — to o Polsce, to o przyszłości, to o jakiejś Franciszce. Dał także znak, aby mu podano krucyfiks z Ukrzyżowanym Chrystusem, który do ust z nabożeństwem przycisnąwszy, ducha wyzionął. Tak zginął w on dzień feralny dziewiątego października 1779 roku, lat mając 36 niespełna, po Stefanie Czarnieckim największy bohater polski. Aby godnie

pamięć jego uczyć i wysławić, trzebaby na to Wirgiliuszowego pióra lub wymowy onego greckiego Plutarcha, a ja oto człowiek rycerski, sercem tylko duży a nie rozumem, czyż podolam takiemu dziełu? Nie zamilczę jednak, powiem jak umiem. Pułaski gorąco kochał Pana Boga, ojczyznę swoją i rodaków swoich — odważny był do zuchwałości, i choć miernego wzrostu, w ręce siłę miał niesłychaną — a na szable bił się jak nikt. Prywaty nie było w nim zgola, zapominający o sobie, a wylany dla innych, tak że z każdym ostatnią koszulą bylbym się podzielił. Słowem sentymenta miał kawalerskie i nieocenione; był to prawdziwy szlachciec polski, co jak to mówią «prędko do zwady, ale użyteczny do rady; dobry do zabawy i do sprawy — do modlitwy i do bitwy». Jeśli miał jaką wadę to chyba tę, że był nadto gorączka i na złość ludzką czasem się narażał niechcący.

Charakterystyka ta jest prawdziwą z wyjątkiem postawienia Pułaskiego na pierwszym miejscu po Czarnieckim. Pułaski był wprawdzie znakomitym wodzem, ale jak nad Czarnieckiego, znamienitego partyzanta, miała Polska lepszych wodzów, tak też jest paru i w czasach niepodległości i w dobie porobiorowej, którzy talentami wojskowymi przewyższają Pułaskiego. Pułaski nie będąc pierwszorzędnym wodzem, męstwem osobistym, patriotyzmem bez granic, bezinteresownością niesłychaną dorósł miary najszczytniejszych postaci dziejów naszych i najpiękniejsze minionych czasów wskrzesił wzory.

Współuczestnik walki o niepodległość amerykańską, sławny Lafayette, chlubnie wyraża się w swych

pamiętnikach o naszym ziomku. «Pulaski — powiada on — konfederat barski, cnotliwy i nieustraszony rycerz, chciał być Polakiem wszędzie».

Od śmierci Pulaskiego zmieniło się wiele na świecie, powstałi nowi bohaterowie, których odbłyśk sławy został na kartach dziejów, mimo jednak zmian cześć dla imienia Pulaskiego żyje w sercach Polaków i zachowała się nietykalną w Ameryce. Na Kapitolu amerykańskim w Waszyngtonie, wśród najzasłuższych mężów Stanów Zjednoczonych, znajduje się biust naszego rodaka, a w mieście Savannah, gdzie znalazł grób, widnieje na rynku piękny obelisk z granitu, poświęcony jego pamięci, w ratuszu zaś tego miasta jego portret olejny.

Wielkość tego człowieka płynie przede wszystkim stąd, że się nigdy nie skalął służbą w szeregach ciemieńców, że swój oręż i swoją krew oddawał na usługi sprawom czystym i uczciwym. W tym względzie ucieleśnił w sobie ideę, którą się kierowała Polska w czasach swej niepodległości, która nigdy nie wydzierała cudzej własności. To przyczyna, dla której historia nasza jest piękniejszą od przeszłości innych narodów. Są w dziejach naszych błędy, brak karności i porządku, których skutki dźwigamy dotąd, ale niema śladu tych oszustw, rabunków, aktów wiarolomstwa i rozbojów z jakich się składają dzieje Moskali i Prusaków, dziś niestety pierwszych potęg świata, mogących mieć wszystko, ale nigdy stałego błogosławieństwa Boga i piętna uczciwości na czole. Z tej przyczyny my w swej nędzy wyżsi jesteśmy od naszych katów o tyle, o ile cnota góruje nad zbrodnią.

---

